



komu kokosz? 3

po zakręcie — 4
prostaostatnia 5
stacjana nowocze- 8-9
sny obyczajprorok 10
nadziei

KONTAKTY

ŁOMZYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

43

(158)

KONTAKTY

23 X 83

cena

10 zł

DANUTA i ALEKSANDER
WRONISZEWSKY

ANIOŁ DOBROBYTU

Zdzisława S. zna w Łomży wiele wpływowych osób, jest to bowiem człowiek bywały. Trudno powiedzieć, na ile te znajomości wyływały z naturalnej potrzeby towarzyskiej, na ile zaś wkalulowane były w koszty „rozwijania” interesu; fakt pozostaje jednak faktem, że o panu S. w Łomży się mówiło.

Ciąg dalszy na str. 7

AFERA PIWNA

W NASTĘPNYM NUMERZE: gdyby ludzie „chcieli chcieć”, czyli polskich nadziei ciąg dalszy • o raju w domu opieki społecznej pisze laureatka III nagrody konkursu „Jagusia '83” • dyrektor Wojewódzkiego Oddziału Banku Gospodarki Żywnościowej wyjaśnia, co to jest „trudny pieniądz” i nie tylko • „Lady Pank” w Białymstoku • anomalie przyrodnicze • łomżyński rekonesans krasuli.

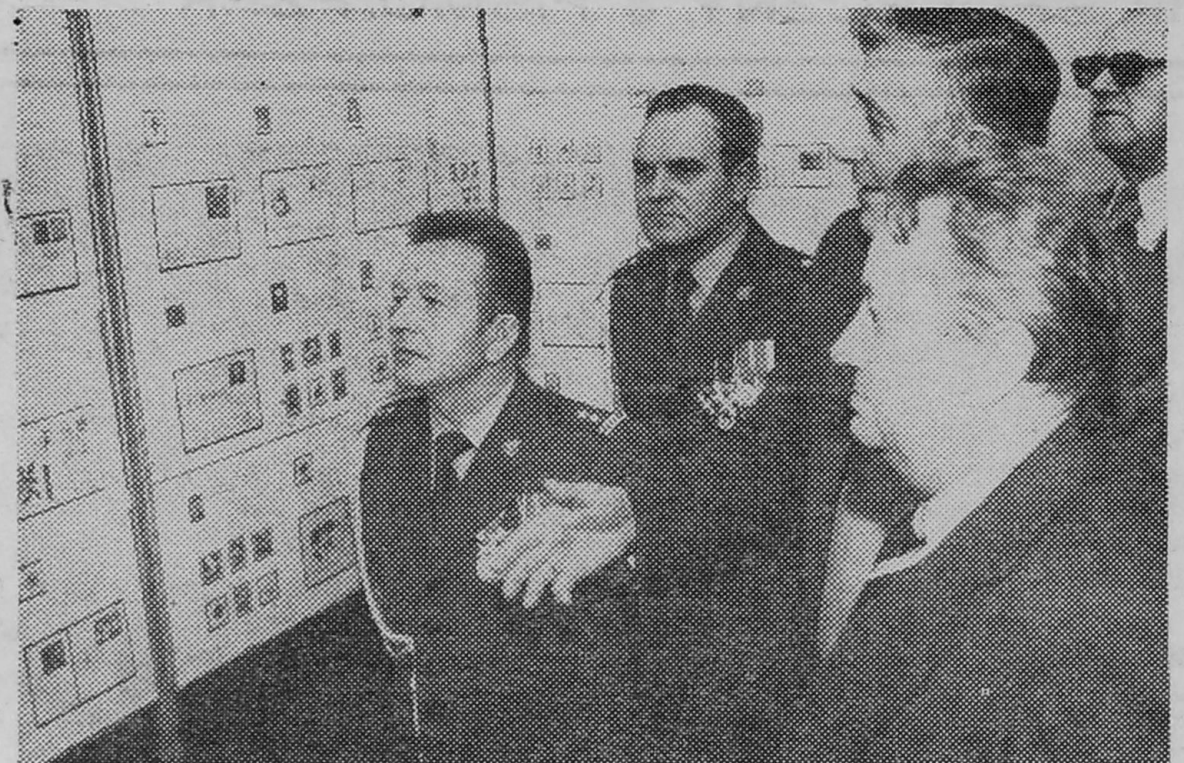
POD HASŁEM „Łączy nas Polska” z udziałem około 200 delegatów i zaproszonych gości odbył się II Wojewódzki Zjazd PRON w Łomży. Delegaci omawiali m.in. zadania OKON-ów w zakładach pracy, sprawy opieki lekarskiej, ochrony środowiska naturalnego, roli PRON-u w zwalczaniu zjawisk patologii niesprawiedliwości społecznej, tworzeniu samorządu terytorialnego, urzędowaniu delegatów przyznaniu posłowi Ziemi Łomżyńskiej Franciszkowi Waszankowi. W dowód uznania za zasługi w rozwoju PRON-u woj. łomżyńskiego nagrody książkowe otrzy-

zorganizowanym przez ROPP w Zambrowie. Tematem zebrania były ich uprawnienia wynikające z nowej ustawy o radach narodowych i samorządzie terytorialnym.

ODBYŁO SIĘ pierwsze posiedzenie Wojewódzkiej Komisji Zjazdowej ZSL. Jej członkowie zapoznali się z dotychczasowym przebiegiem przygotowań do IV Wojewódzkiego Zjazdu Delegatów. Komisja ustaliła tezy do projektu uchwały programowej.

GMINNE INSTANCJE PZPR i ZSL w Turośli na wspólnym posiedzeniu plenarnym oceniły wykonanie zadań inwestycyjnych w gminie oraz realizację wspólnej uchwały o melioracji.

REALIZACJA UCHWAŁY wspólnego plenarnego posiedzenia KW PZPR i WK SD w sprawie rozwoju



OBCHODY ŚWIĘTA LWP. Zapoczątkowały je: otwarcie wystawy „40 lat LWP w filatelii” (Muzeum Okręgowe) i uroczysta akademicka w sali kina „Milenium”. Oficerowie, chorążowie, podoficerowie i pracownicy cywili otrzymali odznaczenia państwowe, odznaki regionalne i resortowe oraz akty mianowania na wyższe stopnie wojskowe. W miejscach pamięci narodowej żołnierze, harcerze i przedstawiciele zakładów pracy zaciągnęli warty honorowe i złożyli wiązanki kwiatów. Odbyły się spotkania młodzieży z kombatanami.

mali: Franciszek Aliński, Antoni Jaroż, Bogdan Jameliły, Bronisław Makieł, Halina Sienkiewicz, Kazimierz Szostakowski i Tomasz Winko.

NAD CZYM pracują terenowe organizacje partyjne? Odpowiadają sekretarze:

• **KMG PZPR w Zambrowie:** — Rozpoczęła się kampania sprawozdawczo-wyborcza. Za nami inauguracja szkolenia partyjnego. Najbliższe posiedzenie Egzekutywy poświęcimy przyjęciu programu działania dotyczącego poprawy obsługi wsi i rolnictwa. Ocenimy też pracę POP instytucji, które świadczą usługi dla rolnictwa.

• **KMG PZPR w Kolnie:** — Na posiedzeniu Egzekutywy oceniliśmy przygotowanie przez odpowiedzialne służby sieci c.o. do sezonu grzewczego. Tematem Plenum była rola związków zawodowych i organizacji partyjnych w realizacji reformy gospodarczej w zakładach pracy z uwzględnieniem programów: oszczędnościowego i antyinflacyjnego. Najbliższe posiedzenie Egzekutywy będzie mieć charakter wyjazdowy. W zakładach „Morena” omówimy wdrażanie reformy gospodarczej tej instytucji, ocenimy warunki socjalno-bytowe załogi oraz pracę POP. Rozpoczniemy nowy rok szkolenia partyjnego.

• **KMG PZPR Wysokie Mazowieckie:** — Na posiedzeniu Plenum KMG oceniliśmy rozwój budownictwa mieszkaniowego w mieście i gminie. Tematem zebrania Egzekutywy będą zasady i kierunki współdziałania Partii z samorządem pracowniczym i spółdzielczym oraz ocena działalności POP w zakładach pracy. Wysłuchaliśmy pierwszego wykładu, który rozpoczął kolejny rok szkolenia ideologicznego.

ZWIĄZEK ZAWODOWY pracowników Zakładu nr 2 Białostockiej Fabryki Mebli w Łomży: — Najważniejsze problemy do rozwiązania na dziś: utworzenie stanowisk pracy chronionej dla kobiet oraz dla osób o pogarszającym się stanie zdrowia.

RADNI, działacze gminnych i miejsko-gminnych rad narodowych, członkowie PZPR i ZSL z rejonu Zambrowa uczestniczyli w spotkaniu

sierz. sztab. Eugeniusz Pikura, por. Ryszard Radkowski, st. sierż. sztab. Edmund Sosnowski, st. sierż. sztab. Tadeusz Szczech, por. Ireneusz Wierczok, chor. Eugeniusz Zaniewski; Brązowym Krzyżem Zasługi — sierż. sztab. Jadwiga Dąbrowska, sierż. sztab. Ryszard Gleba, Kazimierz Gruźewski (ORMO), st. chor. Stanisław Gruźewski, st. sierż. sztab. Mikołaj Hołubowicz, st. sierż. Mieczysław Jasiński, mł. chor. Piotr Kowalewski, sierż. Mieczysław Lipka, sierż. sztab. Zenon Piotrowski, Henryka Sipowska, chor. Czesław Szewczyk, mł. chor. Józef Zysk, sierż. sztab. Józef Żolyniak.

W WUSW w Łomży odbyło się walne zebranie sprawozdawczo-wyborcze członków Klubu Emerytów i Rencistów MO i SB, którzy wybrali nową Radę Klubu oraz komisję rewizyjną. Zasłużeni otrzymali podziękowania i nagrody.

Z OKAZJI DNIA Edukacji Narodowej w Zespole Szkół Zawodowych nr 2 w Łomży odbyło się spotkanie przedstawicieli Kuratorium Oświaty i Wychowania i ZNP z przodującymi nauczycielami i wychowawcami województwa.

TRAGICZNIE zapisały się pierwsze dwa tygodnie kalendarzowej jesieni w statystykach Wydziału Ruchu Drogowego WUSW w Łomży: 17 wypadków, 2 kolizje, 4 zabitych, 20 rannych.

15 PAŹDZIERNIKA rozpoczęła się dwumiesięczna milicyjna akcja „Posesja 2”, w której uczestniczą również władze administracyjne województwa, organizacje młodzieżowe i społeczne, członkowie ORMO, odpowiedzialne służby. Jej główny cel to m.in.: sprawdzenie realizacji poleceń wydanych podczas wiosennej operacji „Posesja 1” (5—14 IV br.), kontrola w środowiskach kryminalnych. Działaniami zostaną objęte posesje prywatne, zakłady pracy, osiedla mieszkaniowe i osoby fizyczne. Stwierdzone fakty niegospodarności, marnotrawstwa, łamania zasad współżycia społecznego, pasywności będą podawane do wiadomości publicznej, a winni zaniechań pociągnięci do odpowiedzialności prawnej. Organa MO liczą, podobnie jak w akcji „Posesja 1”, na pomoc społeczeństwa w sygnalizowaniu wszelkich przejawów patologii społecznej.

MIESZKAŃCY z ulicy Księcia Janusza, na Osiedlu Jantar w Łomży od 10 października mogą korzystać z nowej linii autobusowej ZKM. Dwie „jedenastki” kursują na trasie Księcia Janusza — „Fadom” w godzinach szczytu: 5.00—8.45, 13.25—17.50 i 13.25—18.15.

gościli w Łomży

Gen. bryg. Zdzisław Barszczewski, komendant główny OHP, płk Stanisław Calka, zastępca komendanta głównego OHP ds. politycznych, płk Stanisław Zuchowski, szef Wydziału Propagandy Komendy Głównej OHP, płk Tadeusz Przewrocki, naczelnik wydziału w Departamencie Kadry MSW, prof. dr hab. Marian Strużycki ze Szkoły Głównej Planowania i Statystyki w Warszawie.

pytanie drażliwe

Obrazek ze Szpitala Wojewódzkiego w Łomży. Przed punktem pobierania krwi (czynnym od godz. 7.00 do 9.00) oczekuje jeszcze około 40 osób. Zbliża się 9.00. Rośnie zdenerwowanie. Gdy pielęgniarki wprowadzają którąś z rzędu osobę spoza kolejki, ludzie wpadają do ciasnego gabinetu. Postanawiają go okupować, póki nie zostaną przyjęci. Wybuch kłótni z personelem. Jedna z pracownic idzie powiadomić dyrektora o zajściu i już się nie pojawia. Rozeźniona grupka udaje się sama na jego poszukiwanie. Dyrektor jest na obchodzie. Zastępująca kierowniczkę laboratorium analitycznego pani magister, po dłuższej rozmowie, zgadza się tej garstce,

która wytrwała do końca, pobierać krew. Czyny to osobiście, gdyż pielęgniarki kategorycznie odmawiają. — Taka sytuacja jak dzisiaj — mówi dziennie i od dawna.

DLACZEGO? Odpowiadają: kierowniczka laboratorium, Zuzanna Wagner, oraz dyrektor szpitala — Tadeusz Wierzbowski.

T.W.: — Materiał do badań pobierany jest w kilku przychodniach na terenie miasta, a wszyscy przychodzą tutaj i laboratorium nie jest w stanie takiej dużej ilości osób przyjąć.

Z.W.: — Mimo to staramy się przyjąć wszystkich. Jest nam ciężko, gdyż wzrósł zakres badań i ich ilość, a pracujemy w tych samych warunkach, co przed laty, albo gorszych. Musimy obsłużyć i teren, i miasto i szpital. Nie raz zwracaliśmy się o dodatkowe pomieszczenie.

T.W.: — Baza szpitala jest tragiczna. Nie wiadomo, kiedy zostanie zakończony remont przychodni przy Armii Czerwonej. Definitywnie problem przestanie istnieć po zakończeniu adaptacji budynku przy Szpitalu Zambrowskiej. Ma to nastąpić w 1985 roku.

wieści gminne

NUR. Oby nie zapeszyć, ale z planu budowy Zbiorczej Szkoły Gminnej napływają ciągle pomysły wiadomości. Kończy się montaż drugiego budynku, przeznaczanego na mieszkanie nauczycielskie. Przygotowane są też fundamenty pod budowę głównej i obiektu towarzyszącej.

• Po co najmniej pięcioletnich staraniach mieszkańców gminy Rejon Dróg Publicznych w Wysokim Mazowieckiem zdecydował się wreszcie na położenie asfaltu na 200-metrowym odcinku drogi wiodącej na plac Gminnej Spółdzielni. Należałoby ją przedłużyć do szosy prowadzącej w kierunku Siedlec, ale nastąpi to zapewne za następne pięć lat.

• Od dwóch lat, kiedy w Nurze zlikwidowano aptekę, mieszkańcy gminy zmuszeni są po lekarstwach jeździć do Ciechanowca, Małkini i Czyżewa. Zaplombowane pomieszczenie apteczne stoi puste, a w mieszkaniu, które poprzednio zajmował aptekarz, mieszka lekarz. ZOZ zatrudniłby aptekarza pod warunkiem, że jego małżonek będzie lekarzem.

• Po 3-miesięcznej działalności został zamknięty prywatny sklep warzywno-owocowy. Towaru było więcej niż klientów.

ZBOJNA. Trwa sprzedaż ziemi z PFZ. Wiele umów kupna-sprzedaży jest jeszcze finalizowanych, ale np. w ubr. sprzedano rolnikom indywidualnym 58 hektarów. Głównym źródłem wzbogacenia PFZ są grunty przekazywane przez rolników Skarbowi Państwa. Zdarza się to jednak coraz rzadziej, bowiem rolnicy mają następców.

• W br. w czterech przypadkach — na wniosek Urzędu Gminy ZUS wstrzymał wypłatę rent tym rolnikom, którzy przekazali gospodarstwa, a faktycznie sami na nich pracowali.

• Złe jest też wówczas, kiedy przekazujący i następca biorą się do wspólnego gospodarowania. Wybuchają wówczas kłótnie, jak np. w Kuziach, gdzie syn-następca pobija ojca. Powodem nieporozumień była też postawa rencistów, którzy twierdzą: „Przekazałem synowi gospodarstwo, a on mnie nie chce słuchać”.

• Architekt wojewódzki dał za wygraną i zrezygnował z projektu, w myśl którego lecznica w Zbójnej miała być wzniesiona w stylu kurpiowskim. Dokumentację przewidując jedynie elementy kurpiowskie, neoklasycystyczne i szczyty. Chore zwierzę utrzymuje przy życiu nadzieję, że budowa lecznicy, wpisana do planu 3-letniego, rozpocznie się w przyszłym roku.

• W przyszłym roku powinna ruszyć budowa wspólnego wodociągu w Zbójnej i Debnikach.

• Prawdopodobnie tylko zwierzęna zadowolona jest z faktu, że na terenie gminy obwody łowieckie posiadają dwa koła warszawskie — „Geolog” i „Pogoń” przy Polskiej Akademii Nauk. Mieszkańcy gminy nie mają żadnej korzyści ze swojej uprzejmości.

• Udało się poza rozdzielniczką „załatwić” osinobus do dowozu uczniów. Szkopuł w tym, że Kuratorium, które pierwotnie obiecało pokryć koszty zakupu, niespodziewanie wycofało się z obietnicy, kiedy

CIĄG DALSZY NA STR. 15





KOMU KOKOSZ?

Zjechali do Myszyńca na doroczny jarmark — w pierwszą środę po Michale — Kurpie z całej prawie Puszczy Zielonej i Białej. Było co oglądać i w czym przebierać:

kurtki ze skaju	3 700,
garnitury	5 000,
kurtki z karakułów zachodnich	70 000,
jesionki modne	4 500,
krowy (wcale nie liche)	22 000,
klacz trzyletnia	60 000(!),
prosiaki	4 000,
gęś skubana czterokilowa	1 000,
pierze z gęsi (1 kg)	1 500,

z kury	300,
patelnia (przypalająca się)	500,
silniki elektryczne	17 000,
nożyki do skrobania warzyw (prosto z Warszawy)	80,
harmonia 120-basowa (używana)	60 000,
beczka dębowa duża	12 000,
krzyż żelazny metalowy	35 000,
czapki	500,
barany	12 000,

Następny jarmark w pierwszą środę po Marcinie, czyli 16 listopada.

tekst i zdjęcia
Gabor Löwinczy



pobra
lyż pie
nawiaja
— mo
się co
a: kie
Zuzanna
ala —
lań po
odniach
y przy
nie jest
ci osó
my się
cieżko
ch ilość
warun
orszych
miasto
y się o
est tra
zostanie
ni przy
nie pro
zakod
zy Sz
nastąpi
ne
e z pla
Gmin
ne wa
drugie
na mie
gotowa
udynie
ce.
oletnich
ny Re
ysokiem
ie wre
na 200
wiodacej
i. Nale
sy pro
tec, ale
ne pięć
y Nurze
szkańcy
karstwa
alkini i
omiesz
w mie
jmował
OZ za
unkiem
arzem
łalność
sklep
ru było
ziemi z
rzedają
ale np.
indy
tównym
a grun
olników
się to
em rol
badkach
ny ZUS
n rolni
spodar
na nich
kiedy
a się do
Wybu
np. w
pobli
n bywa
y twier
spodar
tuchać
dał za
projektu
Zbójnej
lu kur
ewidują
kie, np.
wierzaki
ieja, że
o planu
w przy
mna ru
dociagu
wierzy
że na
kie po
skie —
Polskiej
gminy
swojej
lnikiem
zu uc
Kurato
ało po
dziewa
kiedy
15

Historia Partii to właściwie historia życia mojego i mojej rodziny. Ojciec, robotnik fabryki Lilpopa w Warszawie, członek PPS-u, za swoją działalność został zesłany na Sybir. Gdy rodzice wrócili do Polski, zamieszkali w Łomży, a on na nowo przystąpił do pracy w organizacji. Z tamtych lat pamiętam wiec PPS-u, na które ojciec często mnie zabierał. Miałem wtedy około 11 lat, więc na swój sposób pojmowałem te ważne dla dorosłych wydarzenia. W domu słyszałem o strajkach; przychodzili jakiegoś ludzie, mówili o niesprawiedliwości i wyzysku klasy robotniczej. Niewiele z tego rozumiałem, ale widziałem, że coś się dzieje. Przygotowywali się wtedy do demonstracji na znak solidarności z załogą zakładów wodociagowych i kanalizacji, która otrzymywała bardzo niskie zarobki.

Strajk w zakładach i przemarsz uliczny z inicjatywy PPS-u i KPP poparli dwa związki: Klasowy i Związków Zawodowych. Wyciągałem szysze, stawałem na palcach, żeby zobaczyć idących robotników. Ojciec siedział w pierwszym szeregu obok tych, których widziałem u nas w domu. Nieśli czerwone sztandary, coś śpiewali i wołali: „My chcemy chleba!” Na Starym Rynku (dzisiaj plac Żeglickiego) odbył się wiec. Policja uważnie obserwowała tłum. Początkowo było spokojnie, aż nagle zobaczyłem, że zaczynają rozpełzać zgromadzonych. Od dawna polowali na działacza związkowego Jaworskiego. W tym zamieszaniu dostrzegłem, jak wbiegł w jakąś bramę. Później, w domu, dowiedziałem się, że udało mu się uciec. Tak wyglądało moje pierwsze zetknięcie z ruchem robotniczym. Nie rozumiałem, po co wychodzą na ulice, dlaczego strajkują, dlaczego jesteśmy głodni. Nie znałem prawdy.

W roku 1946 rozpocząłem pracę w elektrowni. Spotkałem tu znajomego mojego ojca, starego działacza PPS-u, Szczepana Czechnowskiego. Pod jego wpływem oraz własnych doświadczeń podjąłem decyzję wstąpienia do PPS-u. Legitymację, bez odbywania okresu kandydackiego, wręczono mi w Komitecie Powiatowym. Od 15 grudnia 1948 r. jestem członkiem PZPR.

Partię — ludzi, działania, kierunki pracy — mogę ocenić z perspektywy 35 lat mojej przynależności do organizacji. PZPR przeżyła wiele wzlotów i upadków, a ja wraz z nią. W pierwszych latach po wojnie nie wyobrażałem sobie, jak można nie brać czynnego udziału w dzwigniu kraju z ruin. Praca wtedy miała chyba inną wartość dla władz PZPR-u i dla samego narodu. Jeżeli powiedziałem swojej brzygadzie, że musimy wykonać coś w określonym terminie, byłem pewny, że mnie nie zawiedzie. Budowaliśmy wtedy linie niskiego napięcia w Zambrowie. Czas gonili. Ludzie rozumieli, co znaczy każda minuta, i robili tak, jakby pracowali dla siebie, solidnie, bez oglądania się na innych i patrzenia na zegarek. Nikt nie myślał o własnych korzyściach, bo wszyscy w tym patriotycznym zrywie rozumieli potrzebę budowania i tworzenia tego, co nazywa się wspólnym domem. To był piękny okres w historii Polski Ludowej. Czy dzisiaj uda nam się go powtórzyć?

Wszelkie wartości tworzą ludzi. Każdy człowiek myśli po swojemu i trzeba umieć znaleźć do niego drogę, bo w każdym jest więcej dobrego niż złego. Z takim przekonaniem przystąpiłem do pracy partyjnej. Miałem chyba trochę szczęścia. Zwykle spotykałem towarzyszy-aktywistów, którzy byli świadomi zadań wynikających z bycia członkiem PZPR-u, znali założenia ideologiczne, wiedzieli, czego chcą. Wkrótce powierzono mi funkcję wykładowcy szkolenia partyjnego. Zawsze uważałem, że taka forma pracy jest ludziom bardzo potrzebna. Wyjaśniałem, co to znaczy partia, na czym polega jej przewodnia rola w naszym systemie politycznym, czego oczekuje się od działacza; omawiałem podstawy ideologii komunizmu. Do każdego zebrania przygotowywałem się sumiennie. Pragnąłem, żeby ludzie widzieli sens tych spotkań, nauczyli się dyskutować, uzasadniać swoje racje. Teoria i praktyka to dwa nieodłączne pojęcia, dlatego starałem się, aby zasady polityki ekonomicznej państwa zostały przez towarzyszy zrozumiane jednoznacznie: w połączeniu z ich ciężką, codzienną pracą.

DLACZEGO JESTEM CZŁONKIEM PARTII?

po zakręcie- prosta

JAN STATURSKI, przewodniczący komisji społeczno-gospodarczej KM PZPR i sekretarz organizacji terenowej nr 6 w Łomży.

Wkrótce zacząłem dostrzegać zjawiska w naszej organizacji. Czulem to po swojemu, rozmawiałem z towarzyszami. Dość boleśnie przeżyliśmy okres kultu jednostki. Każdy ostry zakręt może stać się przyczyną groźnego wypadku i tego obawiałem się najbardziej. Na szczęście to fatum nie zawisło nad nami na trwałe.

W późniejszym okresie brakowało Partii również konsekwencji w działaniu, a często i kompetencji ludzi podejmujących decyzje ogromnego znaczenia. Każda forma gospodarcza rodzi się z potrzeby chwili. Trzeba być przygotowanym i na sukces, i na niepowodzenie, ale nie wolno bez przerwy ryzykować, tłumaczyć się poszukiwaniem właściwej drogi, bo stawka jest przecież byt całego narodu. Te niekonsekwencje widziałem np. w pracy samorządów robotniczych. Utworzone je ze szlachetnych pobudek, dla współuczestnictwa załogi w zarządzaniu przedsiębiorstwem. A jak naprawdę funkcjonowały KSR-y? Stanowiły okazję do rozwijania administracji, biurokracji, zbędnych formalności działań pozornych. A gdzie miejsce na głos klasy robotniczej? Nie było takich reform, planów i programów, których nigdy nie doprowadzono do końca? Gdzieś po drodze ginęły

wcześniej założenia i prawie zawsze zmierzano do celu określoną drogą, na której piętrzyły się nieprzewidziane trudności. Z głosem klasy robotniczej nie liczono się w ogóle. Nie mogłem nigdy zrozumieć, jak to możliwe w partii robotniczej, partii komunistycznej. Gdańsk '70 na zawsze pozostanie symbolem braku poszanowania robotnika i jego pracy. Zamknięto też wtedy drogi awansu młodzieży.

Mam żal do ówczesnych władz, że użyto siły. Przecież my, Polacy, wiemy, ile jest w nas nie tylko chęci działania, ale i mądrości narodowej.

Zawsze mówiłem, co myślę. Ta zasada prowadzi do niechęci, braku zaufania i wielu przykrości, chociaż człowiek wie, że postąpił zgodnie ze swoim sumieniem. I ma poczucie własnej godności. Rok 1970 to był dobry początek. Szkoda, że trwał tak krótko i tak bezmyślnie straciliśmy szansę powrotu na dobrą drogę. Zadawałem sobie pytanie: czy ten rozmach gospodarczy nie przekracza naszych możliwości? Na zebraniach słyszałem entuzjastyczne wypowiedzi o nowych inwestycjach. Mnie ta gigantomania przerażała. Jasne, że kraj trzeba nieustannie budować, takie jest

prawo życia społecznego, ale trzeba to robić mądrze, po gospodarsku.

W końcu doczekałem się. Za głoszone publicznie racje, niezgadzałem się z metodami pracy PZPR-u, otrzymałem nagany partyjną. To było dawno temu, ale gdy o tym mówię, wszystko powraca w najdrobniejszych szczegółach. Pracowałem w pewnej instytucji na stanowisku kierownika działu, któremu podlegał m.in. transport. Co tam się działo! Trudno opisać ten niezwykle bałagan: brak organizacji i dyscypliny pracy. Za przetrzymywanie nie rozładowanych wagonów trzeba było słono płacić. Telefon u rywał się w domu w niedzielę i święta. Bolała mnie ta niegospodarność, więc robiłem, co mogłem, żeby sytuację zmienić. Ale nie takie to łatwe, gdy na odpowiedzialnych stołkach siedzą nieodpowiedzialni ludzie. Dyrektor przedsiębiorstwa był członkiem Partii, a mimo to nie miał odpowiedzialności za grosz. Kiedy Egzekutywa KM PZPR dokonywała oceny działalności naszej instytucji, padło pytanie o współpracę dyrektora z zakładową organizacją partyjną. Powiedziałem prawdę: nie ma żadnej, a na wszelkie wnioski dotyczące poprawy tej sytuacji nikt z kierownictwa nie udzielił konkretnej odpowiedzi.

Następnego dnia dyrektor wezwał mnie na rozmowę. Zdziwiłem się, bo przecież problem dotyczył całej załogi, a więc powinniśmy rozmawiać na zebraniu otwartym. Wszyscy wiedzieli, że został dyrektorem z protekcji i nie zależy mu ani na wynikach przedsiębiorstwa, ani na ludziach. Lekceważył naszą organizację partyjną bez żadnego skrepowania. Nie przychodził na zebrania albo trzeba było mu przypominać dziesięć razy. Za to, że mówiłem, co myślę, postanowił pozbawić się „przeszkody”. Ściągał na mój dział kontrolę i czekał, kiedy powinien mi się noga i stało się. W KP PZPR powiedziałem, że nie wycofam swoich oskarżeń. Partia w tym wypadku też okazała się konsekwentna: nie pomogło odwołanie do Wojewódzkiej Komisji Kontroli Partyjnej ani do KC PZPR. Zrezygnowałem z pełnienia funkcji sekretarza POP. Jak się wtedy czulem, nie warto przypominać. Następnym razem był zawał. Ale nie załamłem się, wiedziałem, że mam rację. Wielu kolegów było po mojej stronie. Oderwało mnie to na długi czas od pracy partyjnej. Tłumaczyłem sobie, że nie mogę wystąpić z PZPR-u, bo to przecież moja partia, a ludzie są tylko ludźmi.

Kryzys 1980 roku nie był dla mnie zaskoczeniem. Kredyty, propaganda sukcesu, stracone szanse młodych, karierowiczostwo, przytłaczanie ludzi dla zwiększenia statystyki... Nazbierało się tych grzechów bardzo dużo i dlatego sierpniowy bunt robotników uważam za słuszny. Tak dłużej być nie mogło. Partia i naród na przeciwnych biegunach. Kiedy nastąpiło to oderwanie się od nas? Przecież nie nagle. To skutek błędów, które kumulowały się latami. Co miałem robić w tej skomplikowanej sytuacji? Poszedłem do KM PZPR i powiedziałem, że chcę pracować w organizacji. Miałem nadzieję, że się przydam, bo Partii potrzebne było wtedy moralne oparcie.

Czulem się winny za to, co się stało. Mimo życiowych zasad, wypracowanych metod działania, wiele spraw uszło chyba mojej uwadze, a może były i takie, które nieświadomie tolerowałem? Ale nie tylko Partia ponosi winę. Wszyscy chcieli żyć dobrze; bezpartyjni też. Rachunek sumienia powinien zrobić każdy Polak.

Zostałem w Partii — pomimo przykrych doświadczeń, zawodów, zwątpienia. Przeciwności, które na nas spadły, utwierdziły mnie w przekonaniu, że PZPR zrozumiała swoją statutową rolę w państwie socjalistycznym. Wierzyłem i wierzę w wyjście na prostą. Partię stać na rozumne działanie.

Utkwiła mi w pamięci XVI Miejska Konferencja Sprawozdawczo-Wyborcza. Ludzie nareszcie zaczęli mówić prawdę. To była pierwsza prawdziwa konferencja partyjna. Odbijali sobie wszyscy za te lata milczenia. Wreszcie postawiono na młodych, wybierając ich do władz miejskich i wojewódzkich. Mam nadzieję, że nie odrzuca rady starych, doświadczonych działaczy.

Notowała
GABRIELA SZCZĘSNA
Fot. GABOR LÖRINCZY





— Funkcjonuje powiedzenie, że kolej to państwo w państwie.

— To tylko mit, który być może wziął się stąd, że kolej działa wszędzie bez względu na ustrój. Mówi się też, że z koleją nie wygrasz. Ale przecież tyle jest przepisów ograniczających samowolę, że nawet kolejarze nie zawsze się w nich orientują. To fakt, że mamy własną sieć telefoniczną, dalekopisową, służbę zdrowia, a nawet porządkową. Lecz inne instytucje też są samodzielne, a nikt nie twierdzi, że stanowią państwo w państwie. O sprawach techniczno-eksploatacyjnych mogą decydować jedynie władze kolejowe. Kurtuazja wymaga jednak, aby spełniać życzenia miejscowych władz administracyjnych. Musimy np. przestrzegać przepisów ochrony środowiska i zarządzeń sanitarnych. Złe byłoby jednak, gdyby naczelnicy czy wojewodowie rządzą koleją. Czym wtedy wozilibyśmy węgiel?

— Gdzie zatem należy kierować skargi i wnioski?

— Jeżeli dotyczy naszej stacji, najlepiej składać je u nas. Przy braku do nas zaufania można wnieść zażalenie do dyrektora Rejonu Przewozów Kolejowych w Białymstoku lub do dyrektora Centralnego Okręgu Kolei Państwowych w Warszawie. Niewiele mamy skarg ze względu na niewielki ruch pasażerski (średnio jedną w roku). Koncentrujemy się na przewozach towarów. Tutaj wniosków jest więcej. Staramy się je uwzględnić przy okazji comiesięcznych spotkań z korzystającymi z naszych usług. Na podstawie takich wniosków zgodziliśmy się przedłużyć czas postoju wagonów przywożących zboże dla PPS-u do 30 godzin, a miał węgiel dla ŁZPB „Narew” do 23 godzin.

ostatnia stacja

O kolejowych mitach, szybkości pociągów, nierozważnych decyzjach i kolejarskiej kurtuazji – z Jerzym Małkowskim, zawiadowcą stacji Polskich Kolei Państwowych w Łomży – rozmawia Wiesław Kołowski.

— Baracek stacji kolejowej w Łomży, ślepy tor, to temat humorystycznych spostrzeżeń ludzi odwiedzających nasze miasto.

— Komu humor, temu humor, a dla nas reumatyzm i utrata wzroku. Grzyb na ścianach w pomieszczeniach biurowych przykryliśmy trochę płytą paździerzową. Budynek stoi od 1946 roku. W latach siedemdziesiątych była przygotowana dokumentacja budowy wspólnego dworca PKS-u i PKP. Inwestycja nie weszła jednak do planu. Mamy nadzieję, że PKS, po przeniesieniu się do pomieszczeń przy ul. Spokojnej, udostępni nam trochę pomieszczeń. Boli nas sprawa likwidacji kolejki wąskotorowej. Zlikwidowano ją pochopnie, bo ponoć była deficytowa. Ile samochodów prze-

ba podstawić, aby rozładować, na przykład, 60-tonowy wagon węgla? A trasy przewozu też nie są krótkie, np. do Turośli — ponad 50 kilometrów.

— Nie do śmiechu jest też mieszkaniem domów zlokalizowanych nie opodal torów wydawczych. Ich mieszkania pełne są pyłu węglowego.

— Najwięcej tego pyłu jest w moim mieszkaniu. Nie jestem przekonany, czy winą trzeba najbardziej obarczać PKP. Przede wszystkim w fatalnym stanie jest odcinek ulicy Sikorskiego między Świerczewskiego a Wojska Polskiego. Samochody, aby minąć się, zjeżdżają na pobocze, przy czym unoszą się tłumy kurzu. Rozpoczęła się już przebudowa, ale potrwa co najmniej dwa lata. Samochody

wożą materiały pyłące na otwartych platformach. Z suwnic korzysta Państwowa Spedycja Krajowa; jest to przedsiębiorstwo przewożące, ale bez taboru. Często sypki ładunek czeka na placu, aż zjawia się wynajęte samochody. Nie znaczy to, że niczego w tym względzie nie robimy: kończymy modernizację placów wydawczych, a zaraz po przebudowie ul. Sikorskiego obsadzimy teren stacji żywopłotem i drzewami.

— Zakłady pracy korzystające ze stacji kolejowej skarżą się na złą organizację pracy u was. Twierdzą, na przykład, że o przesyłce dostarczonej rano dowiadują się dopiero po południu, kiedy już nie ma kto rozładowywać wagonów.

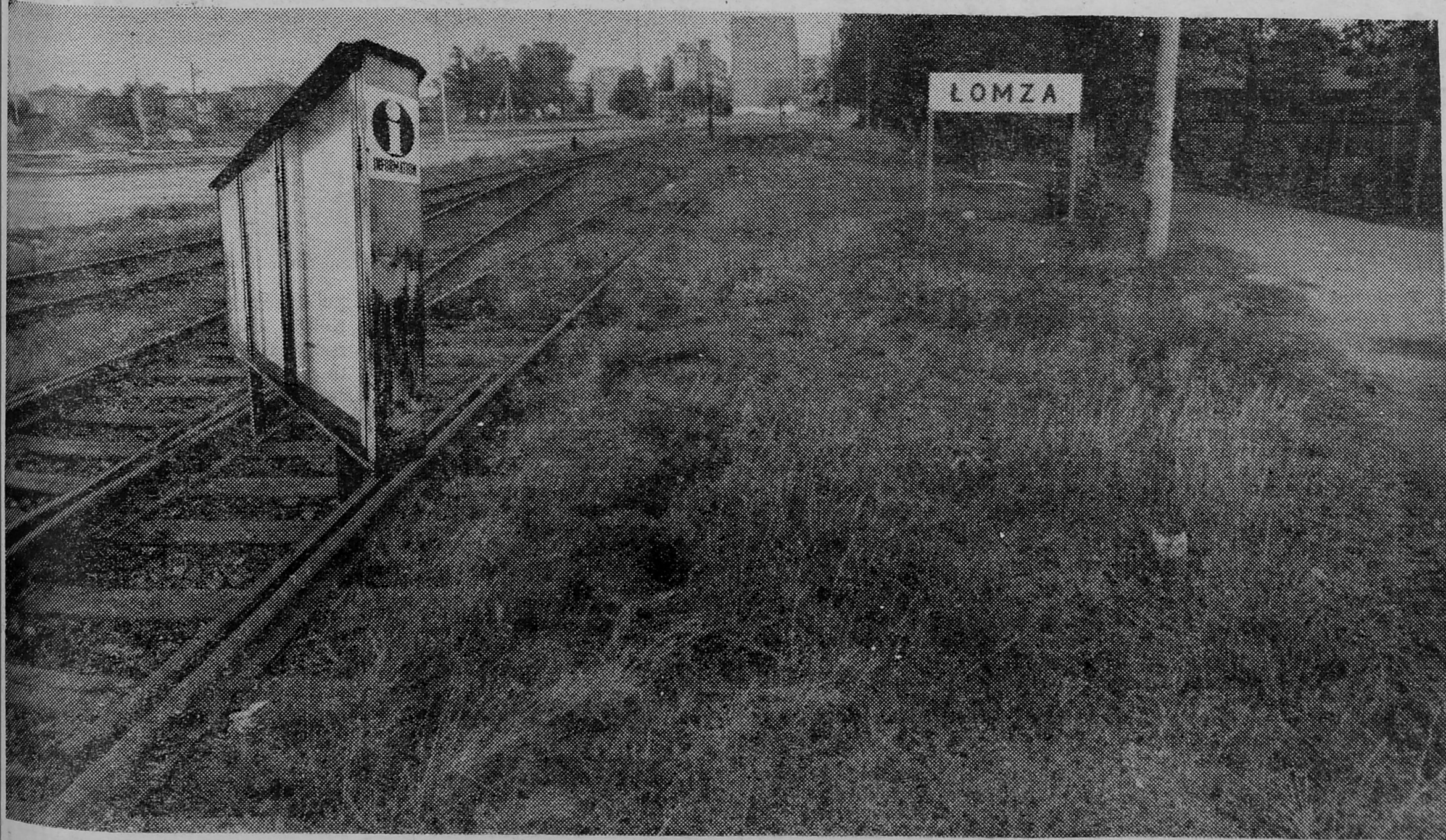
— Jedni nasi klienci przewozem i rozładunkiem towarów zajmują się codziennie, więc doskonale znają rozkład jazdy pociągów towarowych i nie mają żadnych problemów. Gorzej z odbiorcami korzystającymi z naszych usług sporadycznie. Z Ostrołęki, która jest najbliższą stacją formującą dla nas pociągi, otrzymujemy szczegółowe awizo dla kogo (i z czym) przeznaczony jest każdy wagon. Zanim pociąg o 12.00 w południe dotrze do Łomży, zawiadamiamy odbiorców o nadejściu przesyłki. Staramy się, aby informacja dotarła do zakładu przed 15.00. Jeśli jest później, np. godz. 18.00, to postój liczymy od 6.00 rano. Nie wszystkie pociągi formowane są jednak w Ostrołęce. Wysyła je Warszawa lub Olsztyn, i o zawartości wagonów dowiadujemy się wówczas, kiedy pociąg jest już na stacji. Bywa tak, że dociera do nas w wolną sobotę albo niedzielę. My też mamy żal do kierowników zakładów: uprzedzają dozorców, aby w tych dniach nie przyjmowali zawiadomień o nadejściu przesyłki.

— Co z modernizacją szlaku kolejowego Łomża—Ostrołęka?

— Z Łomży do Sniadowa pociągi osiągają prędkość 50 km/godz. Kiedyś było gorzej: średnia prędkość na tej trasie wynosiła 5 km/godz. Najgorzej jest z odcinkiem ze Sniadowa do Sokół. Tamtą trasę pociągi pokonują z prędkością 20 km/godz. Wzrasta ciężar wagonów i długość składów. Układa się ciężkie szyny, ale podsypka szybko ulega erozji. Na tej trasie podkłady nie były zmieniane od trzydziestu lat, a norma mówi o dziesięciu. Modernizowane są ważniejsze linie, np. Śląsk — porty; my stoimy na końcu w tej kolejce.

— Kolejarzom z okazji ich Święta — najlepsze życzenia „Kontaktów”: parę w życiu, elektrowozów na wszystkich trasach i zawsze otwartych semaforów na drodze ku pomyślności zawodowej i rodzinnej.

Fot. GABOR LÖRINCZY



zblizenia



kto mu rację

W związku z listem czytelnika, opublikowanym w 37 numerze tygodnika „Kontakty”, wyjaśniam, że opisane przez klienta zajście na stacji benzynowej w Piątnicy miało miejsce nie pod koniec sierpnia, lecz pod koniec lipca br., a przedstawiane fakty tylko częściowo pokrywają się z prawdą.

Jako kierownik często przyjeżdżam w godzinach wieczornych na stację w celu sprawdzenia prawidłowego funkcjonowania działalności obiektu, prawidłowości sprzedaży i reglamentacji paliw. Wówczas byłem tam między godz. 20.00 a 21.00. Jeden z pracowników obsługi dystrybutorów nalewających paliwo, drugi zaś siedział przy okienku i inkasował pieniądze oraz stemplował załączniki uprawniające do zakupu paliw.

Przy okienku utworzyła się niewielka kolejka 6-8 osób. W pewnym momencie podszedł do niego klient, nie zwracając uwagi na osoby oczekujące, położył na ladzie pieniądze i poprosił o sprzedaż oleju. Zwróciłem mu uwagę, zaproponowałem ustawienie się na końcu kolejki i oddałem położone przez niego 200 zł. Wówczas klient w bardzo ordynarny sposób, donośnym głosem zaczął ubliżać pracownikowi stacji i mnie: „Macie za dużo pieniędzy, pobogaciście się, łobuzy, wypychaliście sobie kieszenie” itp. Ja poprosiłem ponownie o ustawienie się w kolejce. Później osobiście nalałem klientowi oleju i zwróciłem uwagę, że za ubliżanie pracownikom stacji benzynowej powinien zostać skierowany do Kolegium ds. Wykro-

OD REDAKCJI: staramy się spełniać prośby naszych Czytelników, dlatego przedstawiamy Pana sprostowanie. Natomiast nie ujawnimy nazwiska i adresu autora listu, który opublikowaliśmy w 37 numerze tygodnika, ponieważ prosił nas o dyskrecję.

wyjaśnienie

W nawiązaniu do zamieszczonej w „Kontaktach” (nr 35) notatki, z której wynika, że naczelnik gminy Zambrów przez pięć miesięcy nie odpowiedział na korespondencję Zarządu Miejsko-Gminnego ZMW, uprzejmie komunikuję, iż na pismo zarządu z dnia 18 marca 1983 roku udzielono ustnej odpowiedzi przewodniczącemu ZMW w maju. Natomiast na pismo z dnia 5 lipca bieżącego roku przesłano odpowiedź 1 sierpnia 1983 r.

INŻ. ZYGMUNT BIAŁY
naczelnik miasta i gminy
w Zambrowie

matura

Nawiązując do notatki zawartej w 29 numerze łomżyńskiego tygodnika społecznego „Kontakty” (rubryka „Spięcia”), czuję się w miłym obowiązku wyjaśnić pewne sprawy.

„Jedzonko” i napoje maturalistom serwują ich rodzice, a nie dyrekcja, rada pedagogiczna, administracja szkolna czy szkoła w ogóle. Szkoła nie ma takich możliwości a-

(bo możliwości, panie dyrektorze, gdy ktoś chce, zawsze się znajdują) wykazania troski o ucznia podczas pierwszej cięższej życiowej próby, jaką jest matura. I jeszcze jedno, odległe być może, skojarzenie. Na zjazdach absolwentów łomżyńskich szkół średnich niemal nie uświadczysz roczników powojennych. Co ma z tym wspólnego kanapka czy butelka mineralnej na maturalnym stoliku? Dosłownie — nie. Ale jeśli kanapki nie potraktujemy jako tylko i wyłącznie kawałka bułki z wędliną?

akcja „magazyn”

W związku z notatką prasową, zawartą w rubryce „Zdarzenia” („Kontakty” nr 36), dotyczącą katastrofalnego stanu zabezpieczenia przeciwpożarowego w Państwowym Gospodarstwie Rolnym w Porytem Jabłoni, uprzejmie informuję, że w dniu 26 sierpnia 1983 r. przedstawiciele Rejonowego Urzędu Spraw Wewnętrznych i Prokuratury Rejonowej sprawdzili usunięcie usterek wykrytych podczas wcześniejszej kontroli (akcja „Magazyn”).

Stwierdziliśmy wówczas, że niektóre drobne, ale istotne niedociągnięcia zostały rzeczywiście usunięte. Swą funkcję zaczęły pełnić hydronetki, w magazynie głównym zostały uzupełnione pokrywki rozetek i tablic rozdzielczych, uporządkowano też magazyn zbożowy. Niestety, nie był rozładowany prowizoryczny magazyn, zawierający około 63 ton ziarna. Według informacji dyrekto-

Wroniszewskiej „Glazurowa mozaika” („Kontakty” nr 33), na otwartym zebraniu partyjnym — odbytym w dniu 31 sierpnia br. — poddałem krytycznej ocenie wykonywania obowiązków służbowych przez niektórych pracowników.

Podjęte ustalenia dyscyplinujące pracę w Wydziale Rolnictwa, Gospodarki Żywnościowej i Leśnictwa eliminują w przyszłości powstanie opisanego w artykule faktu. Natomiast pracownicy winni naruszenia dyscypliny pracy zostali ukarani karami porządkowymi.

MGR INŻ. JAN HOLCZAK
dyrektor Wydziału Rolnictwa
Gospodarki Żywnościowej
i Leśnictwa UW
w Łomży

inwentaryzacja

W odpowiedzi na notatkę prasową („Spięcia” „Kontakty” nr 37) uprzejmie informujemy, że przyczyną zamknięcia sklepu w Kolnie była przeprowadzana w sierpniu inwentaryzacja okresowa. Informację o tym zamieściliśmy w widocznym dla klientów miejscu oraz dodatkowo wywiesiliśmy wykaz najbliższych sklepów prowadzących sprzedaż części zamiennych do tych samych marek pojazdów. Mimo trwającego spisu kontrolnego, nabywcy mogli też za-



czeń. Ponieważ usłyszałem odpowiedź w podobnym do poprzedniego tonie, wymieniałem z nim kilka ostrych zdań. Klient po pobraniu oleju udał się w kierunku swojego samochodu i opuścił stację.

Ponadto nadmieniam, że tylko na wyjątkowe okazje ubieram garnitur. Wtedy nie wykonywałem obowiązków służbowych, więc nie miałem emblematu i odzieży ochronnej. Natomiast klient wyjechał ze stacji sam, bez pasażerów.

Uważam, że ludzie pokroju czytelnika, którego list opublikowano, powinni żyć i pracować w innym społeczeństwie, gdzie nie będą obowiązywały podstawowe formy kultury i ogólnie przyjęte zasady współżycia międzyludzkiego. Proszę zatem o sprostowanie opisanego zajścia oraz opublikowanie nazwiska i adresu klienta, który dopuścił się takiego oszczerstwa na łamach Waszego pisma.

ANTONI BARANOWSKI
koordynator
Stacji Benzynowej nr 26
w Piątnicy

ni potrzeby, ani też — obowiązku. Jeśli chodzi o moje córki, to maturę zdawały dwa lata temu, a nie rok temu, jak to „Spięcia” insynuuje. I nie jedna, tylko dwie. Popelić dwa razy lapsus w jednym zdaniu można tylko w „Kontaktach”.

I jeszcze jedno: przy tych poborach, które otrzymujemy, niestrawność ani mnie, ani członkom komisji maturalnej nie grozi. Niemniej dziękuję za horoskop, a życzenia w nim zawarte odwzajemniam z całą serdecznością.

Doświadczenia życiowe, tak jak dysertacje, pozytywne bądź negatywne, są przydatne zawsze.

DR WIESŁAW BLASZKO
dyrektor
Zespołu Szkół Weterynaryjnych
w Łomży

OD REDAKCJI: lapsus, rzecz wstydliva, niemniej publicznie bijemy się w pierś. I zastanawiamy się: czym jest stanowisko szkoły, która nie widzi potrzeby ani obowiązku

ra Kombinatu Państwowych Gospodarstw Rolnych „Wizna” w Grądach Wonięcku — usunięcie zboża z tego budynku winno nastąpić w najbliższych dniach.

W powyższej sprawie 31 sierpnia 1983 r. skierowałem wystąpienie do dyrektora Kombinatu PGR „Wizna” w Grądach Wonięcku, w którym zwróciłem uwagę na istniejące niedociągnięcia oraz zobowiązałem do ich likwidacji — zgodnie z wytycznymi Komendy Wojewódzkiej Straży Pożarnych w Łomży.

MGR MIECZYSLAW ANKOWSKI
prokurator rejonowy
Zambrów

„glazurowa mozaika,,

Uprzejmie informuję, że w nawiązaniu do artykułu red. Danuty

kupić potrzebne części w sklepie w Kolnie, który prowadził sprzedaż w godz. od 10.00 do 12.00 (dowodem na to jest uzyskany w tym okresie targ w wysokości ok. 100 tys. zł). Po zakończeniu inwentaryzacji PSD pracował w pełnym wymiarze godzin.

Odnosnie usług wyjaśniamy, że przedsiębiorstwo nie posiada na terenie Kolna stacji obsługi samochodów, a wymieniona w notatce prasowej jednostka usługowa podlega Wytwórczo-Usługowej Spółdzielni Pracy w Kolnie i za jej działalność nie ponosimy odpowiedzialności.

HENRYK URBAN
zastępca dyrektora ds. handlowych
w „Polmozybie”
Białystok

OD REDAKCJI: czyli dobrze jest. Widać nasz informator to pechowiec.

Fot. GABOR LÖRINCZY



nnych transakcji. Do niedawna bowiem, gdy funkcjonowało jeszcze pojęcie zysku nadzwyczajnego niezależnego, służby finansowe Ministerstwa Finansów miały prawo położyć na każdej zarobionej niezgodnie z przepisami złotówce areszt; teraz w dalszym ciągu pozostają one w dyspozycji danego zakładu czy przedsiębiorstwa.

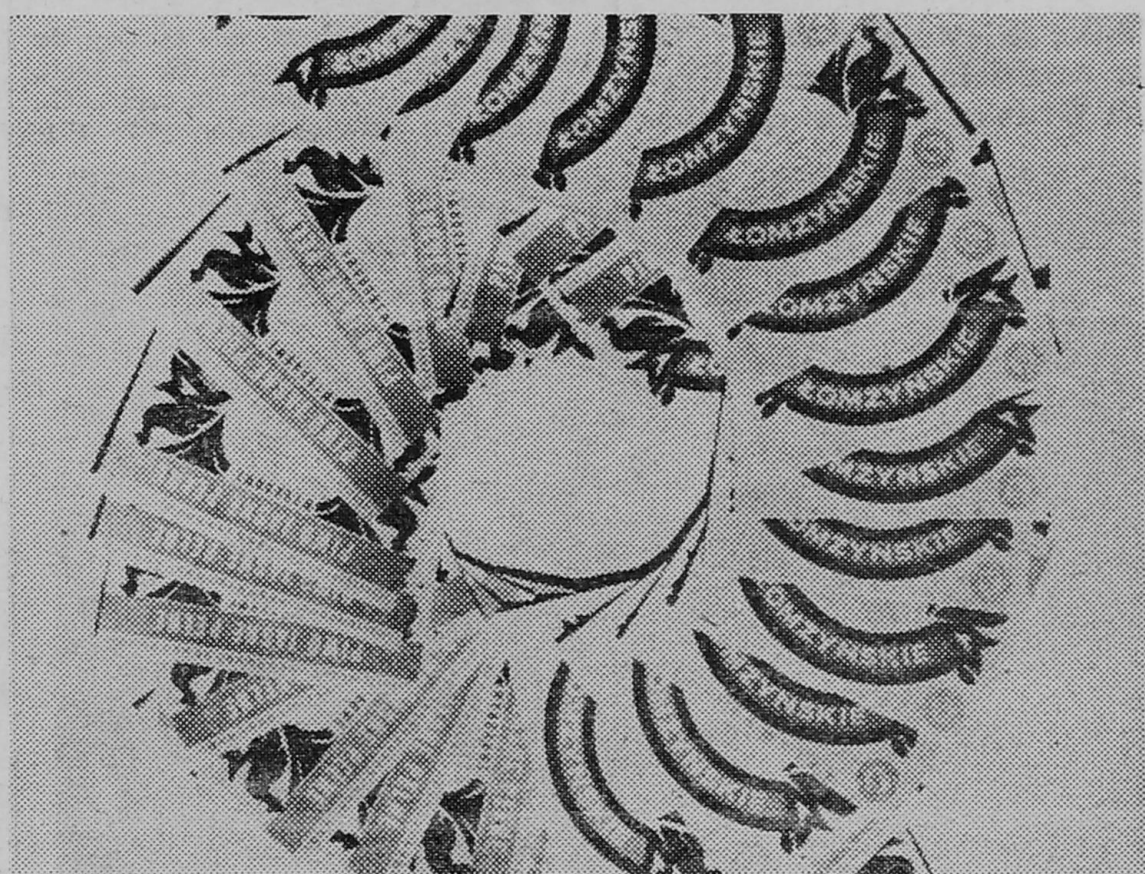
Prokuratura surowo ocenia nie tylko działalność Zdzisława S., ale i wszystkich tych, dzięki którym mógł on funkcjonować. Nie kto inny, jak dyrektor hotelu — twierdzi prokurator prowadzący dochodzenie — stworzył S. możliwość nielegalnych operacji. Niesłychany jest taki przypadek, by dyrektor świadomie rezygnował z marży wobec agenta, podczas gdy w tym samym czasie sprzedaje swoim pracownikom produkty z marżą gastronomiczną. Gdyby sprzedał to piwo Zdzisławowi S. z jakimkolwiek narzutem, być może wcale byśmy go nie niepokoił. Z punktu widzenia kodeksu przestępstwem gospodarczym jest nie

prawie pełną anonimowość — na pewnym etapie pan Zdzisław zniknął z dokumentów transakcji.

Nie da się ukryć, że było mu to bardzo na rękę; jak się bowiem później okazało, S. nie do końca i nie wobec wszystkich postarał się o prawdę i uczciwość. A prawda była taka, że nigdzie nie pracował. Upoważnienie Gminnej Spółdzielni w Wejherowie otrzymał niejako na konto swojego współnika — agenta prowadzącego kiosk warzywny w Strzebielinie Morskiej (niedaleko Wejherowa), który, znając operatywność S. (upoważnienie mógł dostać tylko pracownik Gminnej Spółdzielni) poprosił prezesa Spółdzielni o wydanie dokumentu na jego nazwisko. Piwo nie trafiło więc do GS-u w Wejherowie, lecz do małego „zieleniaka”.

Zwykła logika wskazuje, że transport 30 tysięcy butelek przekracza zapotrzebowanie jednego punktu sprzedaży. „Obsługiwał” więc pan Zdzisław także innych agen-

ANIOŁ



DOBROBYTU

tów. Nie rozliczał się chyba przy tym zbyt sumiennie ze swym „pracodawcą”, gdyż ten, czując, iż utracił kontrolę nad S., pofatygował się do łomżyńskiego browaru i wymógł upoważnienie do odbioru piwa. Mniej więcej w tym samym czasie odwiedzali Łomżę także i inni agenci z Wybrzeża. Legitymowali się upoważnieniami z Wydziału Handlu i Usług swoich Urzędów, deklarowali własny transport i... odjeżdżali z kwitkiem.

Wszyscy ci, którzy w ten czy inny sposób zetknęli się ze Zdzisławem S., powtarzają: jest to człowiek niezwykle wyjątkowy, postawiony na odpowiedzialnym stanowisku — mógłby poważnie rozruszać naszą gospodarkę. Niestety, przeszkody natury — powiedzmy — formalnej nigdy mu na to nie pozwoliły. Dotychczasowa działalność przynosiła mu niewątpliwie satysfakcję duchową i materialną, gdyby tylko jeszcze zechciał ją zalegalizować...

W opinii prowadzących śledztwo i dochodzenie — Zdzisław S. również jawi się jako osobowość nietuzinkowa, a cała sprawa, na pozór jasna i zrozumiała, ma kilka kontrowersyjnych bądź zaskakujących momentów. Dziwić może np. fakt, że nigdzie nie pracujący niedoszły agent potrafi, bez najmniejszych przeszkód, załatwić sobie każdy dokument, że nie wzbudza swoją działalnością żadnych podejrzeń, nie prowokuje do dokładniejszego przyjrzenia się jego osobie.

Zdumiewające jest również to, że nikt nie zwrócił uwagi na taki paradoks: piwo sprzedaje się miejscowemu hotelowi, a karty drogowe wystawia na odległe Wejherowo. W zakładach, których pracownicy zamieszani są w „sprawę piwną”, nie ma atmosfery potępienia dla aferzystów, praktycznie rzecz biorąc — przedsiębiorstwa widocznych strat nie poniosły, oczywiście były natomiast (w swoim czasie) korzystne. Nawiasem mówiąc, są one legalne choć uzyskane w drodze nielegal-

tylko spowodowanie strat, lecz również utrata przewidywanych korzyści. Tu wprawdzie osiągnięto zysk, ale w wyniku pozorowanej działalności: fikcyjnego obrotu piwem.

Dość odmiennie ocenia swoje postępowanie sam dyrektor hotelu. Trzeba też powiedzieć, że jego wyjaśnienia zdołały (jeśli nie w całości, to w znacznej mierze) przekonać np. bezpośrednich zwierzchników. Prawdopodobnie też dlatego Sąd Rejonowy w Łomży uchylił wobec niego prokuratorską decyzję tymczasowego aresztu.

Nie czuje się w żadnym stopniu aferzystą, choć wisi nade mną dziesięć milionów do rozliczenia — wyjaśnia Andrzej D. — Nie szedłbym też nigdy na pewne nieformalne rozwiązania, gdyby nie tamten szczególny okres, rok 1982. Pierwszy kwartał to jednocześnie pierwsze miesiące stanu wojennego, hotel nieczynny, działalność gastronomiczna praktycznie żadna. Prowadziliśmy, zaplanowany wcześniej remont: odnowę elewacji, na którą zarząd „Gromady” dał nam kredyt. Nie tylko nie wiedziałem, z czego miałbym zacząć ten dług spłacać, lecz z czego wypłacać pracownikom pobory. Wchodziła przecież reforma ze swoimi trzema „S”, a więc i samofinansowaniem się. Na szczęście w drugim kwartale rygory stanu wojennego nieco zelżały i mogliśmy podjąć w miarę normalną pracę; turystyka nie kwitała restaurację i kawiarnię trzeba było zamykać już o 21.00, a dość kiepskie zaopatrzenie sprawiało, że nie było czym przyciągać gości.

Zdzisława S. znałem już z widzenia, gdyż bywał u nas dość często. Miał opinię dobrego, niezłe ustawionego handlowca; z reguły rezerwował sobie apartament i zachowywał się jak człowiek z wyższych sfer: potrafił obdarzyć dziewczynę z recepcji kwiatami, poczęstować kogoś kawą. Miał gest. Miał też doskonałe rozeznanie rynku, o czym i ja bardzo szybko się przekonałem.

Zjawił się któregoś dnia w moim biurze. „Panie dyrektorze, nie potrzebuje pan konserw rybnych, koreczków anchois, wegorzy?” — zapytał. Zdebiłem. W czasie, gdy nie było praktycznie żadnych konserw ani ryb, on mi proponuje takie delikatesy! Ale, oczywiście, coś za coś; poprosił, bym mu odsprzedał swój przydział piwa. Bywał już w łomżyńskim browarze, wiedział więc, że nie wykorzystuję moich przydziałów, bo mam duże dostawy żywieckiego. Poszedłem na tę wymianę. Ustaliliśmy, że ja mu odstąpię piwo za 500 tysięcy, a on mi sprowadzi za tę samą sumę inny towar. Ja mu odstąpię piwo bez marży i nie będę jej płacił za to, co kupię od niego; on może zarobić na nim do 40 proc. marży, ja w naszej gastronomii dostanę za jego towary 200 proc. (z tym że na sprzedawanym mu bez marży piwie i tak zarabialiśmy, gdyż PPS udzielał nam 10—12 proc. rabatu). Nie byłoby przy tym wszystkim najmniejszych kłopotów i przykrości, gdyby nie fakt, że piwo pobierałem z browaru na nasz magazyn i bar kat. IV, a sprzedawałem go z niego panu S. jedynie formalnie, na papierze; w praktyce łądował on hotelowy przydział bezpośrednio w browarze na swój samochód. Żeby być w porządku z prawem, powinienem sprowadzić piwo do magazynu, wydać barmance i dopiero ona mogłaby sprzedać je agentowi. Wtedy, oczywiście, jeszcze nie wiedziałem, że pan Zdzisław nie jest agentem, lecz nieformalnym pośrednikiem agentów i że wobec tego należy mu na tym, by jak najtaniej kupić „u źródła” i jak najdrożej sprzedać swoim odbiorcom.

Gdybym przeczuwał, że tkwi w tym grubszy szwindel i że taki handel nie leży w interesie przedsiębiorstwa, nie pchałbym się w to. Ale rozumowałem tak: skoro jest reforma, to nie mogę siedzieć i czekać, aż ktoś mi coś przydzieli, da zarobić. Muszę sam szukać możliwości. Na naradach w Warszawie też kładziono nam wciąż do głowy, że zysk musi być, nie wolno nam plajtować, trzeba się trzymać, wspomagać. Wymiany podobne do tej zdarzały się też między hotelami: ja komuś załatwiałem krochmal do ichniejszej pralni, on mi koniaki, kawę, wino czy inną markę piwa. „Żywca” np. miałem tyle, że połowę odstąpiłem Zdzisławowi S. Powie ktoś: dlaczego nie dałem na łomżyński rynek? Wiedziałem, że takiej ilości piwa nikomu tutaj nie sprzedam. WSS ma swoje wejścia, swoich zaopatrzeniowców. A poza tym (i przede wszystkim) nie miałem wielkich możliwości handlowania czym innym. Zamawiałem w Gdyni pepsicolę; dyrektor tamtejszego browaru chętnie by mi ją sprzedał, ale nie mógł jej produkować, bo brakowało mu kapsli, a konkretnie — blachy. Pan S. załatwił ją bardzo szybko. Jeśli dyrektor browaru otrzymał milion kapsli, czy mógł mi odmówić przydziału pepsi? Pan Zdzisław był w załatwianiu tych rzeczy nieoceniony. Wywahał np., że w Łomży jest tyle kiszzonej kapusty, iż do wiosny na pewno zgnije, podczas gdy na Wybrzeżu jest droga i niedostępna. Tu przedsiębiorstwo sprzedawało mu po 19 złotych, ratując się przed stratami, tam z wdzięcznością kupowano od niego prawdopodobnie po 40.

Gdy S. widział, że złotówka może się utopić w błocie, podnosił ją. Swoją wiedzą, znajomościami i rzutkością imponował, budził zaufanie. Ja również mu ufałem. Zresztą nie decydowałem o tych operacjach jednoosobowo. Na wszystkich dokumentach są podpisy innych pracowników, którym ufałem.

W jaki więc sposób Prokuratura dopatrzyła się u mnie 9600 tysięcy niedoboru? Nie wzięło się to, oczywiście, z plotek czy z powietrza, lecz ze skomplikowanego wyliczenia. W moim głębokim przeświadczeniu odstąpienie hotelowego przydziału piwa panu S. nie było z naszej strony niegospodarnością; na towarach dostarczonych przez niego zrobiliśmy „na czysto” 1 300 000 złotych. Jest to niemało, skoro ogólny zysk z całej działalności turystyczno-gastronomicznej wyniósł w ubiegłym roku ponad 8 milionów.

(Cdn.)

DANUTA i ALEKSANDER WRONISZEWSKY

Imiona i nazwiska osób zostały zmienione.

Fot. GABOR LÖRINCZY

penetracja



Autobus odjeżdża o piątej i choć stąd do Łomży zaledwie 17 kilometrów prostą drogą, zawiła trasa dojeżdżających zabiera mu czterdzieści minut. Ci z Rogienic czy Bud Czarnoczych mogą pospać pół godziny dłużej, za to drogę przebywają na stojąco. Ci z Dobrzyjałowa mają do dyspozycji cały autobus, ale wstawać muszą najpóźniej o 4.20. Starcza wtedy czasu na pospieszne śniadanie z kubkiem herbaty zaparzonej grzałką.

Irena Bagińska ma najbliższą do placu przed kościołem, gdzie zbierają się dojeżdżający. Elżbieta Tomaszewska idzie przez całą wieś. Ranne wstawanie nie wydaje się w lecie uciążliwe. Nawet przyjemnie iść w porannym słońcu przez budzącą się dopiero wieś, świeżą i jakby ciut-ciut obcą. W zimie — wiadomo — komu chce się wychodzić spod ciepłej pierzyny? W zimie najlepsza jest druga zmiana. Można wyjechać autobusem o jedenastej, pochodzić po sklepach. W lecie lepiej pracować na ranną, choć denerwujące są postoje konserwacyjne. Konserwatorzy pracują na jedną tylko zmianę, więc czy chcesz, czy nie, wyłączają co drugi dzień

parę tysięcy (średnia w tkalni za marzec wyniosła 7.763 złote bez rekompensat) — i jak przyjdzie talony wykupić, to nieraz trzeba pożyczć od mamy, która także żywi.

Autobus przyjeżdża pod fabrykę mniej więcej za dwadzieścia szosta. Po lewej stronie okazałego biurowca z napisem „Narew” zaczynają się już ustawiać kolejki przed sklepami. To znaczy, że nareszcie przywieźli firanki. W tym roku dawali talony na dwa komplety pościeli i prześcieradła, na koszule i sukienkowe. Zasłony do okien były dwójki jakiego rodzaju: jednobarwne, przyjemne zielonkawe, beżowe, kremowe, można było wybrać wedle gustu po 10 metrów, i kwieciste, już nie takie ładne, ale kolejki i tak wielogodzinne się ustawiały. Dziewczęta pozapisywały się do spółdzielni, wpłaciły po 25 tysięcy na swoje M-2 i choć Bóg raczy wiedzieć, kiedy te mieszkania dostaną, to wyposażenie do nich trzeba kompletować stopniowo w takich czasach, jak dzisiejsze. Sklepy przy zakładzie są poręczne i zostały wybudowane z myślą o załodze, ale przyjeżdżają tu i z miasta; powiadają, że lepiej zaopatrzone niż śródmieście. A talony nie tylko „Narew” przecież przydziela.

Piątka dziewcząt z Dobrzyjałowa rozdziela się teraz. Krystyna Grunwald idzie do labo-

nie należy. Gdyby dostawali dobry surowiec, to co innego. Zresztą dwa razy trzeba się zastanowić nad każdą reklamą, bo się obraża i w ogóle nie dadzą. Tymczasem w Łomży zaplanowano prawie 72 proc. pierwszego gatunku. Nie wykonają planu — dostają po kieszeni. Natychmiast.

Na progu tkalni uderza w bębniaki jazgot, który — w miarę posuwania się w głąb — rośnie, wypycha się do głowy i wydyma ją od wewnątrz tak, że trudno myśleć. Furkoczące maszyny, ażurowo-błkitnawe, przymglone obłoczki białego nalotu, wychodzą naprzeciw i zda się, nie będzie końca ani tym stalowym ażurom, ani narastającemu hałasowi.

— Nic nie słyszę — mówisz, wskazując uszy, do kierownika Gutowskiego, który od dłuższego czasu coś tłumaczy.

— Sto dwa decybele — krzyczy ci do ucha.

— Ile krosien? — pytasz dotykając jego ręki.

— Ja wszystko słyszę — odpowiada przysunawszy usta do twojego ucha — po dwudziestu latach przyzwyczaiłem się. Sześćset dwa nacięcia krosien, pięćdziesiąt tkaczek na tej zmianie. Na nocnej tylko dwadzieścia cztery.

W centrum hałasu, jak syreny do połowy ukryte w morskich falach, kobiece głowy w białych czepkach, przeciętych dźwiękochłonnymi sł-

— daje znać mistrzowi, że dwa krosna rwą wątek i płaczą osnowę; złe są uregulowane. Mistrz zabiera się do ustawiania, a ona może w tym czasie wyskoczyć do sklepiku po bułkę. Natrafiła na kolejkę, bo przywieźli akurat miejscowy smok — ziemniaczaną babkę. Zastanawia się: stanąć czy wracać do krosien? Przemaga łaskoczący nozdrza zapach — nie potrafi, jak Barbara, zjeść kanapki chodząc między rzędami maszyn albo nie jeść w ogóle. Barbara zarabia najwięcej z nich wszystkich. Irena pociesza się, stojąc na końcu kolejki: może koleżanka zlituje się nad uruchomionym krosnem? Może pomagaczka?

Pomagaczkami zostają najlepsze tkaczki z dużą wysługą lat. Ich praca jest bardzo urozmaicona, interwencyjna — można powiedzieć, nie chodzą osiem godzin wąską dróżką między rzędami krosien. Dostają takie zajęcia jako premie za utracone zdrowie. Strach popatrzeć na ich nogi — żyłki jak powrozy, płaskostopie i do tego przytępiony słuch. Utworzono także oddział pracy chronionej. Chyba z sześćdziesiąt kobiet szyje tam ubranka dla dzieci. Praca spokojna, cicha, pomarzyć tylko można.

Dlatego dziewczyny stąd uciekają, zwłaszcza te z miasta. Przyjdzie taka po szkole z wyuczonym zawodem „tkacz”, popracuje rok, a przez ten czas szuka lepszego zajęcia. Zostają starsze kobiety, co boją się zmiany, i takie jak one, którym dobrzyjałowski autobus wyznacza życie. Na razie. Wszystkie czekają. Wyjdą za mąż. Dostaną mieszkania...

Elżbieta Tomaszewska staje na dróźnie między huczącymi maszynami. Dwadzieścia metrów do przodu, dwadzieścia z powrotem. Nakładaczka nałożyła już szpule przędzy, omiataczka oczyściła maszynę z białego nalotu. Dwadzieścia metrów do przodu — splątana osnowa, na tkaninie zaczyna rysować się gruba krecha. Daje radę bez pomagaczki. Dwadzieścia metrów w tył.

Elżbieta, najmłodsza z całej piątki, żyje swoim ślubem. Nie lubi o tym mówić z nikim, ale nie może myśleć o czym innym. Pytają, jak to będzie, bo u nich sześcioro dzieci i. prawdę powiedziawszy, nie przelewa się w domu. Będzie jak u innych. Już niech rodzice się o to martwią. Zabije się wieprzka i dwa cielaki, to pewne. Masarz zrobi sławną dobrzyjałowską roladę. Strójka, czyli chrzestna matka, przyniesie ciasta. Może sękacz? A może tort? Torty uważane są teraz za szykowniejsze.

Powiadają, że w innych stronach są sprawiedliwsze zwyczaje: pan młody płaci za alkohol, panna młoda dba o strawę. W dobrzyjałowskiej okolicy pan młody zbiera swoich gości na poczęstunek przed wyjściem do kościoła, o resztę ma się martwić panna młoda, a właściwie — jej rodzice. Nie będzie to wielkie wesele, ale tak ze sto osób trzeba zaprosić.

Barbara została wysłana na półgodzinne szkolenie bhape, dlatego po powrocie sprawdza liczbę wątków — zaledwie dwadzieścia tysięcy, dwadzieścia trzy, dwadzieścia jeden... a tu południe się zbliża. Więcej jak pięćdziesiąt tysięcy dziś nie wyrobi. A rano liczyła, że choć sześćdziesiąt pięć tysięcy średnio wyciągnie i nadrobi zeszyły tydzień, kiedy przędza się rwała. Gdy krosna chodzą równo, aż serce śpiewa i nie czuje człowiek kilometrów w nogach. Ale na siedemdziesiąt osiem tysięcy wątków dziennie maszyna musiałaby chodzić przez osiem godzin bez przerwy.

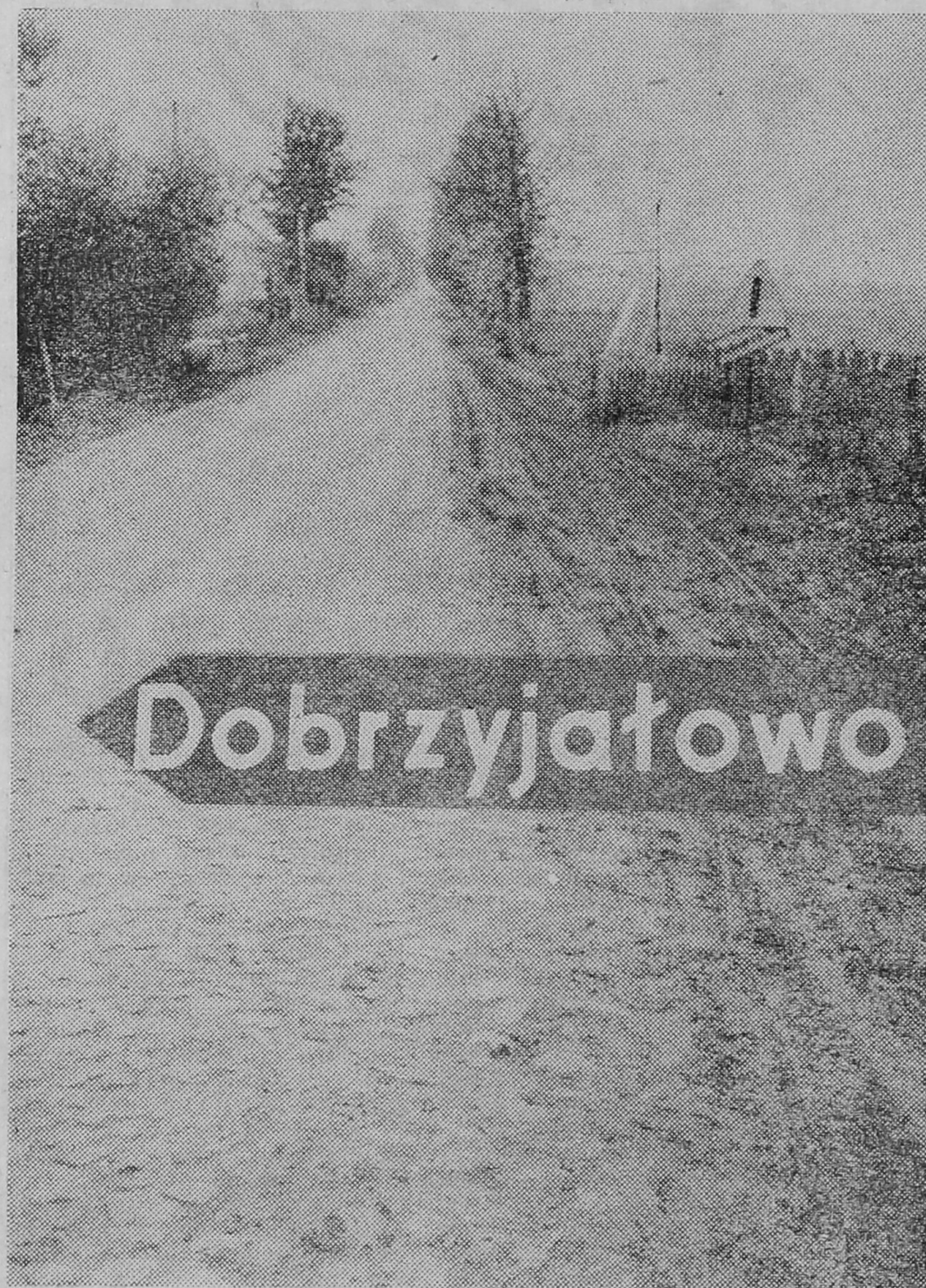
Ten dzień jest całkiem do niczego, bo oto dyspozytor woła: — Dojeżdżające do kierownika!

Stalo się! Tyle się namartwiły tej zimy, tyle potem żyły nadzieją, że najgorsze minęło. Gdyby im zlikwidowali autobus, koniec z pracą. Na stancje przecież nie pójda, nie zapłaca półtora tysiąca za miejsce w pokoju dwuosobowym. A gdzie jedzenie, ubranie? Ile to dziewczyn odeszło z pracy, gdy zaczęto likwidować linię autobusową, podobno nieopłacalną. Na trzeciej zmianie połowa nie staje za krosnami. A i druga niepełna.

Ten dzień nie jest jednak taki zły. Ich dobrzyjałowska linia jest

ALICJA BASIA

NA NOWOCZESNY OBYCZAJ



ratorium, Elżbieta Tomaszewska do tkalni nr 2, pracującej na angielskich krosnach, Irena Bagińska i Barbara Tarnacka — do dwójki, gdzie każda obsługuje po dwanaście krosien produkcji fabryki „Bifama”. Danuta Tomaszewska jest tu omiataczką.

Parterowy budynek tkalni tkwi pośrodku zakładowego terenu, między biurowcem a warsztatami naprawczymi. Znad bocznych ścian unoszą się pióropusze pary wodnej. Bawelna to wymagający surowiec. Lubi ciepło i wilgoć. Gdy tylko temperatura spada poniżej 25 stopni, a wilgotność poniżej 75 proc., nitki rwa się i czasem rozpacz po prostu człowieka ogarnia — więcej krosien stoi niż pracuje. Najgorzej (jak dziś, w poniedziałek) gdy tkalnia wyzębiona po dwudniowej przerwie.

Ostatnio dostają marną przędzę. W Ozorkowie, Zambrowie, Łodzi czy Częstochowie odpowiadają na reklamacje, że z pustego i Salomon

chawkami, kobiece ręce nad białymi płaszczyznami osnów. Wydają się nierealne w tym nieziemskim jazgocie. Mężczyźni snują się na obrzeżach zestawów maszyn, kryją się za dźwiękochłonnymi drzwiami kantorków.

Barbara Tarnacka — siódmy rok w zakładzie, licząc ze szkołą — dostała dziś uczennicę do pomocy. Pokazuje jej zerwaną osnowę, tamta szuka uciekających nitki. Barbara czeka cierpliwie, choć wolałaby sama szybko związać nitki. Nie przepada za takimi pomocnicami, ale przypomina sobie, jak sama stanęła pierwszy raz za krosnem i bała się dotknąć maszyny. Każda czynność, skomplikowana czy nie, wydawała się nie do pokonania. A teraz, popatrzcie, automatycznie robi supeł tkacki, a myślami jest w domu. Trzeba będzie dziś okopywać tytoń i zbierać stonkę. Nie można dostać trucizny na to paskudztwo. Konopkowie dostali, spryskali, a stonka przyszła i znowu zre machorkę. Trzeba zbierać i zbierać bez końca.

Irena Bagińska — piąty rok w bawelniance, dwudziesty rok życia

krosna na dziesięć minut. Dziesięć minut to co najmniej półtora tysiąca wątków, a one zrezygnowały nawet z przerwy śniadaniowej.

Dlatego cieszą się, że płace mechaników uzależniono ostatnio od ich wydajności. Ludzie zatrudnieni bezpośrednio w produkcji — mistrzowie, brygadziści, mechanicy i nawet kierownicy tkalni — są teraz materialnie związani z pracą tkaczek i musi im zależeć na tym, żeby one pracowały non-stop. Ten nowy system wynagradzania, który nazywa się motywacyjny, wprowadzono od pierwszego maja, i wszyscy czekają, jakie też przyniesie on wyniki. Czy rzeczywiście tkaczka zarobi średnio o 1782 złote więcej, jak zapowiadał kierownik Gutowski?

Dobra tkaczka zarobi teraz dziewięć i dziesięć tysięcy po tych wszystkich podwyżkach, „wałęwskich” i następnych, ale kierownik Gutowski siedemnaście lat temu, gdy zaczynał jako tkacz w Zambrowie, dostawał półtora tysiąca na rękę i starczało na stancję, wyżywienie, ubranie. Teraz dziewczęta biorą te

interpretacje



dostatecznie wykorzystana. Dojeżdża nią 77 osób; mniej niż na trasie do odległych Kuzi, ale i tak jest druga pod względem liczebności miejsc. — Mogą spać spokojnie — mówi kierownik — chodzi o artykuł o nich.

Barbara oblicza, ile wątków jeszcze dziś straci, na szczęście dzień niekorka umawia się na rozmowę po południu. Irena wraca do wczorajszej niedzieli, Mianowicie: dlaczego w ich wsi robi się coraz smutniej? Dawniej, gdy Danka Borowskich, siostra Jadwiga, Rybieniarki czy Maryla Kaczkowska były pannami, zbierała się młodzież, śpiewała, komedijki różne odgrywała; co dwa tygodnie zabawy były obowiązkowo — jak nie ORMO, to strażacy albo ZMW organizowało. Jeszcze dawniej była w lesie polanka, na polance — huśtawka, młodzież się tam co niedziela zbierała, ile śmiechu, ile wesela było! Teraz nowoczesny obyczaj nastał, ludzie zamykają się przed telewizorami, a po filmie — do łóżek.

Barbara przypomina sobie ostatni pobyt u siostry na Helu. Dwadzieścia metrów do przodu... tapicerka

dają ludzie, że z takim zawodem nie zginie. Barbara nawet mu się nie dziwi: wstanie człowiek choćby najraniej i tak się nigdy nie obrobi. Szkoda jednak byłoby puścić gospodarstwo w obce ręce.

Ziemie Bagińskich weźmie najmłodszy syn. Po podstawówce przy ojcu przyucza się do gospodarki. Na podwórzu już zalane fundamenty pod nowy dom. Młody gospodarz nie będzie mieszkał przecie w drewnianej chałupie, zawsze wprowadzie wypucowaną, ale małą, ciasną i nienowoczesną. Takich chałup jest jeszcze we wsi sporo, ale więcej dużych, murowanych domów, a przy tych starych gromadzi się pułki, siporex, eternit — widać, że starzy szykują następcom lepsze życie. Tak, niewiele więcej można wyciągnąć ze słabych dobrzyjałowskich gruntów, choć z każdego prawie domu pracuje ktoś w mieście, odkąd asfalt dociągnęli do wsi.

Sporo wyjeżdża. Krystyna Dolecka aż do Jeleniej Góry dotarła i podobno radcą prawnym tam jest. Ale

de jego domu, to on przestanie być jedynym żywicielem rodziny czy nie? Od śmierci ojca prowadzi z matką gospodarstwo i z tego powodu odroczyli mu służbę wojskową. „Nie właściwie on ma hektarów?” — zapytała koleżanka z sąsiedniej maszyny i Elżbieta nie umiała odpowiedzieć. I jeszcze jedno pytanie: czy odejść z bawelnianki po ślubie? Ona myśli, że dopóki nie będzie dziecka, może popracować, a potem pójdzie na wychowawczy, jak inne.

Przed końcem zmiany przez halę fabryczną przechodzi inżynier Pałęga, dyrektor ds. produkcji. Kilka-kilka par syrenich oczu odprowadza go do biura kierownika. Po pewnym czasie ściągają tam i dyspozytorzy. Czy aby nie będą znowu wyjaśniać każdemu zespołowi z osobna zasad systemu motywacyjnego? Nie, chodzi o czternastki. Zostały już rozdzielone i przy końcu tygodnia je wypłaca. Rozjaśnia się od uśmiechów jazgotliwa sala. Tylko nieliczne, które miały enki albo upomnienia, nie uczestniczą w radości.

Irena dostanie 8300. Przypomina sobie pierwszy wypłatę — 3400 złotych. Dopiero po roku, gdy skończyła 18 lat i wolno jej było pójść na nocną, za październik 1980 r. wzięła 6600. Wtedy to było coś.

Przed czternastą na halę wchodzi grupkami druga zmiana. Barbara narzeka do swojej zmienniczki na kolejną nieudany dzień. Na tapicerce wyrobiła zaledwie czterdzieści tysięcy. Szczęśliwie, że mirka — ten cienki tergal dla libijskiego odbiorcy — dobrze się dziś tkala. Barbara w ostatniej chwili opuszcza maszyny, pędem biegnie do szatni, potem — do autobusu.

Irena zastanawia się, czy spotka matkę, która miała przyjechać do Łomży na zakupy. Nie, widocznie odjechała tym o 11.30. To dobrze, w domu będzie na nią czekał gorący obiad.

Na trzynastym kilometrze w prostej linii od Łomży zostają tylko oni sami, z Dobrzyjałowem.

— Górki wysiadły — mówi jeden ze starszych mężczyzn — a pamiętacie, jak to my wysiadali w Górkach i draliwali piechotą cztery kilometry?

Dziewczyny pamiętają tylko pierwszy autobus. Ktoś przeciął wstęgę, ktoś długo mówił, a one niecierpliwiły się: niech im wreszcie pozwolą wejść, zawiozą do Górek i z powrotem za darmo, jak to wcześniej dzieciakom obiecali. I pamiętają jeszcze, jak rodzice pracowali „przy asfalcie”, zwozili kamienie i piach, układali, ubijali, a wieczorami opowiadali, dokąd już doszedł wał, ile jeszcze tygodni zabierze im ta praca i że to już ostatnie dni ich wędrówek do Kownat (4 kilometry), Kisielnicy, Górek (4). Doprowadzili asfalt do Dobrzyjałowa, wydali wielki bal w remizie strażackiej, a teraz dbają ciągle o ten trakt, bo to ich droga na świat.

Po obiedzie Barbara idzie do tytoniu, Elżbieta — do stróżówki w eskaerze, Irena bierze się za sprzątanie. Zastanawia się, czy zabierać się do wyszywania poszewki na poduszkę. W szafie ma już podobnych kilkanaście. Czekają na tapczan we własnym domu.

Większość haftowana w zimowe wieczory. Jeszcze tylko zimą zbierają się sąsiedzi po domach; kobiety swetry robią na drutach, wyszywają, haftują, poztartują, pośpiewają. Czasem kto gazetę przeczyta, czasem książkę ciągnie przez kolejne wieczory, jak ciekawa. Przez parę wieczorów zastanawiali się, kto też z Dobrzyjałowa napisał ten list do „Kontaktów” o podwójnie zapłaconym mandacie. Zastanawiali się, przypuszczali, ale nie doszli.

Matki dogadują niezameżnym córkom: — Ten za młody, jeszcze się uczy, ten przystary, tamten brzydki. Jak przy takich zapatrzeniach znaleźć męża?

— Zabaw nie ma, a jak są, to sami młodzi przychodzą — odpowiadają dwudziestoletnie bawelnianki. — Oni o szkole, my o krosnach, i jak tu się dogadać?

A naprawdę czekają na takiego, który byłby dobry, nie pił, rodzinę utrzymał. Ma się rozumieć: żeby... kochał. Kto teraz bez miłości wyjdzie za mąż?

Fot. GABOR LÖRINCZY

spiećcia



9

KONTAKTY

23 X 83

Otrzymujemy sygnały, że w niektórych sklepach z mięsem (np. w kiosku pracowniczym Łomżyńskich Zakładów Przemysłu Bawelnianego „Narew”) kielbasę waży się łącznie z końcówką zwieńczoną sznurkiem. A przecież już przed wojną — dyszą złością kartkożercy — kapitalista wędlinę sprzedawał okrojona, a obrzynki biedacy nabywali za grosze. Sęk w tym, że w systemie powszechnego dobrobytu na obrzynki miejsca nie ma!

*

Najbrudniejsze ulice w Kolnie noszą nazwy: „Czysta” i „Łazienna”. Zapewne z przewrotności ludzkiej wobec słowa pisanego. Nazwy należy więc zmienić na „Smród” i „Malaria”.

*

Mieszkaniec Cydzyna Starego przytargał do redakcji oryginalnie zapakowaną „Wizankę listową” (ostemplowaną 5 października przez Urząd Pocztowy w Kolnie), którą znalazł w pobliżu przystanku PKS w swojej wsi. Zgubił ją tam, wedle najprawdopodobniejszego prawdopodobieństwa, pocztowy ambulans. Bez zarzutu funkcjonuje już tylko Poczta Pantoflowa.

*

Sześć pewnego wojewódzkiego przedsiębiorstwa co i rusz ponagla dziennikarza do zwizytowania skrytykowanego „obiekta”. „Wszystko, co trzeba, zostało zrobione — zapewnia — a za jakiś czas znów będzie bardak”. Morał z tego wysnuje każdy, kto nie kłep — nim słowo czynem ochrzczysz, postukaj się w łeb.

*

Jeden z etatowych działaczy Zarządu Wojewódzkiego Związku Młodzieży Wiejskiej w Łomży tak pokochał kraj naszych sąsiadów za Odrą, że na wielodniowych obozach, organizowanych przez Zarząd, barłóżył już tam parokrotnie. Obecnie drugi z działaczy zapalał podobną namietnością do bratanków-Węgrów. Pieniądz wprowadzić nie śmiesz, bywa jednak, że pachnie bardzo brzydko.

*

Po każdej dostawie towaru do „Eldomu” w Prostkach, czyli w Suwalskiem, w oknie sklepu natychmiast pojawiają się faktury. Kto tylko ma wolę, może więc sprawdzić, co przywieziono i ile, to znaczy: przekonać się, że nikt niczego nie dotuje. W Grajewie personel „Eldomu” odmawia okazania tego dokumentu nawet na prośbę i groźbę. I bardzo się nam to podoba: każdy może sobie myśleć, co chce. To znaczy, że za cenę ciekawości jest człowiekiem wolnym. Choćby od lodówki.

*

Zgłosiła się do nas roztrzęsiona kobieta z niespełną rocznym dzieckiem na ręku. Przyczyną „wyjścia z nerwu” była odmowa wydania jej L-4 choćby na jeden dzień. „Przecież lekarz widział — przekonywała — że skoro przyszłam do niego z dzieckiem, które zlamano sobie obojczyk, nie mogłam być w tym samym czasie w pracy”. Specjaliści nie wzruszyli jednak żadne argumenty. „Dziecko podniosło krzyk — ja w końcu nie byłam w stanie wydobyc z siebie słowa”. Możemy zapewnić, że gdy maluch trochę podrośnie, też spuści z tonu.



znowu zrywa osnowę. Trzeba by tę maszynę dać na doroczny remont, ale to cały dzień wyłączony z roboty. Dwadzieścia metrów z powrotem. Zryw wątkowy... węzeł tkacki i już krosno pracuje.

Siostra pojechała do pracy w restauracji w sezonie i zapoznała tam rybaka. Namawia teraz młodszą: przyjechałabyś i ty, czego się tam w Dobrzyjałowie spodziewasz. To prawda, że w Dobrzyjałowie nikt się na gospodarstwo nie wzbogacił. Wzbogacili się ci, co jeździli do Stanów na zarobek — polonezy pokupowali, sprzęt rolniczy, domy pobudowali, lżej im żyć.

Czasem człowieka ciągnie w szeroki świat, aby czy dałby radę sam, daleko od domu? A z drugiej strony — zostawić mamę samą? Bo i Marek zapowiada, że na gospodarstwie nie zostanie. Do technikum wieczorowego się zapisał, instalatorem sanitarnym będzie. Powia-

do wysokich szkół ludzie się nie rwa. Kto skończył studia z Dobrzyjałowa? Czekajcie, czekajcie... Kazik Stanisławski, co to był na rolniczych; jego starszy brat, major Wojska Polskiego, też chyba wyższą szkołę musi mieć. I jeszcze kto? Może Teresa Kopczywianka, co jest w Warszawie nauczycielką. Z młodych tylko Krzysiek Tarnacki, cioteczny Barbary, jest w Olsztynie na trzecim roku rolnictwa. Mało — jak na taką dużą wieś. Sto dwadzieścia cztery gospodarstwa ma zapisane w swoich spisach sołtys Henryk Sławski, ale rodzin jest więcej. A ile dokładnie mieszkańców liczy sobie Dobrzyjałowo, tego i sołtys nie powie, bo od 1975 r. ksiąg meldunkowych nie prowadzi.

Elżbiecie nie klei się robota. Dyżurowała wczoraj wieczorem za matkę w stróżówce eskaeru, choć po prawdzie należałoby raczej robotników w dzień pilnować. Teraz oczy pieką z niewyspania. Zeby czas się nie dłużał, rozmyśla o Mietku. Jak zostanie jego żoną i przejdzie

Pod pewnym względem dziele ludzi na trzy grupy: tych, z którymi się witam i żegnam (podajemy sobie dłonie), tych, do których nie mam możliwości zbliżyć się na dystans wyciągniętej ręki oraz na całą resztę. Szczególnie wyraźnie podział ten odczuwam w chwilach trudnych, bolesnie — w dramatycznych. W tragicznych, aby nie popaść w zwątpienie, szukam ratunku w rozumie, w jego analitycznych możliwościach. Minione lata obfitują w takie chwile. Przerazająco maleje liczba dłoni, które mogą uścisnąć.

W ostatnim tygodniu września odszedł Aleksander Rymkiewicz — poeta nie przydzielony do podręcznikowych klatek, nie wprzęgnięty w krępujące szleje nagród. Liryk, który ponad środowiskowe swary, kuluarowe ujadania i przetargi polityczne przemierza swoją krainę powszednich, choć nie powszechnych, wzruszeń. Gdzieś nad nią, rozszerzona aż za Wisłę, była jego poezja. Był z tych prawdziwych poetów, którym wystarcza pisanie wierszy, nie muszą o nich głądzić. Ani o własnych, ani o cudzych. Ku wierszom zwrócony, nikomu nie był, a przynajmniej nie starał się być, wrogiem, ale też z niewielu ludźmi był zrośnięty; prawdziwie bezdomny, wielokrotnie — emigrant, jak każdy, kto w tworzenie się wdaje.

Widowałem go kilka razy w roku przy różnych literackich okazjach. — Słuchaj — mówił na mój widok — daj mi wreszcie adres tego Towarzystwa Naukowego w Łomży, muszę wysłać im składki. To sympatyczni i dzielni ludzie. Zapisali mnie, wiesz, wtedy, kiedy i ciebie, na jakimś spotkaniu, a tyś tam chyba został na stałe. Te składki chcę wysłać wreszcie. A ty płacisz?

Dyktowałem mu kilkakrotnie adres domu przy Sadowej, ale on widać gubił kartkę, bo za jakiś czas znowu dopytywał o Towarzystwo Naukowe. Był na wszystkich sympozjach literackich naszego Święta Kultury Staropolskiej. Bywał w Łomży i kiedy indziej. Pisał wiele, często podróżował po kraju, lubił spotkania autorskie, chciał i potrafił spotykać się z ludźmi. Na jego spotkaniach nigdy nie brakowało publiczności.

NIEZWYKŁE SPOTKANIA

PROROK
NADZIEI

Na peryferiach niewielkiego Wiśnicza wpadł mi w oko zardzewiały drewniany dworek z ładnym ganeckiem, piękną werandą, kwiatami barwiącymi ścianę. Przy lewym słupie werandy sterczała jakaś tabliczka. Podeszedłem bliżej i czytam: „MUZEUM”. Nabierałem odwagi, podeszedłem do ganku i pukam do drzwi. Po chwili ukazuje się nie pierwszą młodą panią o wale dystygowanej sylwetce. Zauważyła moje zakłopotanie. Uśmiecha się przyjacielsko i bezceremonialnie zaprasza do wnętrza: — Proszę do „Koryznówki”. Wiosną otworzyliśmy tutaj muzeum rodzinne,

związane z Janem Matejką. Nazywam się Maria Domańska, z domu Serafińska.

— Stanisława wydała książkę pod tytułem „Jan Matejko”. Czy to ta sama linia?

— Owszem. Ja przedstawiam już piąte pokolenie Serafińskich.

— Co Serafińscy mogą mieć wspólnego z Matejką?

— Matejko podczas studiów w Szkole Sztuk Pięknych często zaglądał do Wiśnicza. Zaprzyjaźnił się tu z moimi prapradziadami, Leonardem i Joanną (z Giebułtowskich) Serafińskimi. Przyjaźń ta zdecydowała o całym życiu artysty... W domu państwa Serafińskich Matejko poznał siostrę pani Joanny, Teodorę Giebułtowską. Przypadli sobie do smaku. W kilka lat później pobrali się i odtąd byli częstymi gośćmi w naszej „Koryznówce”.

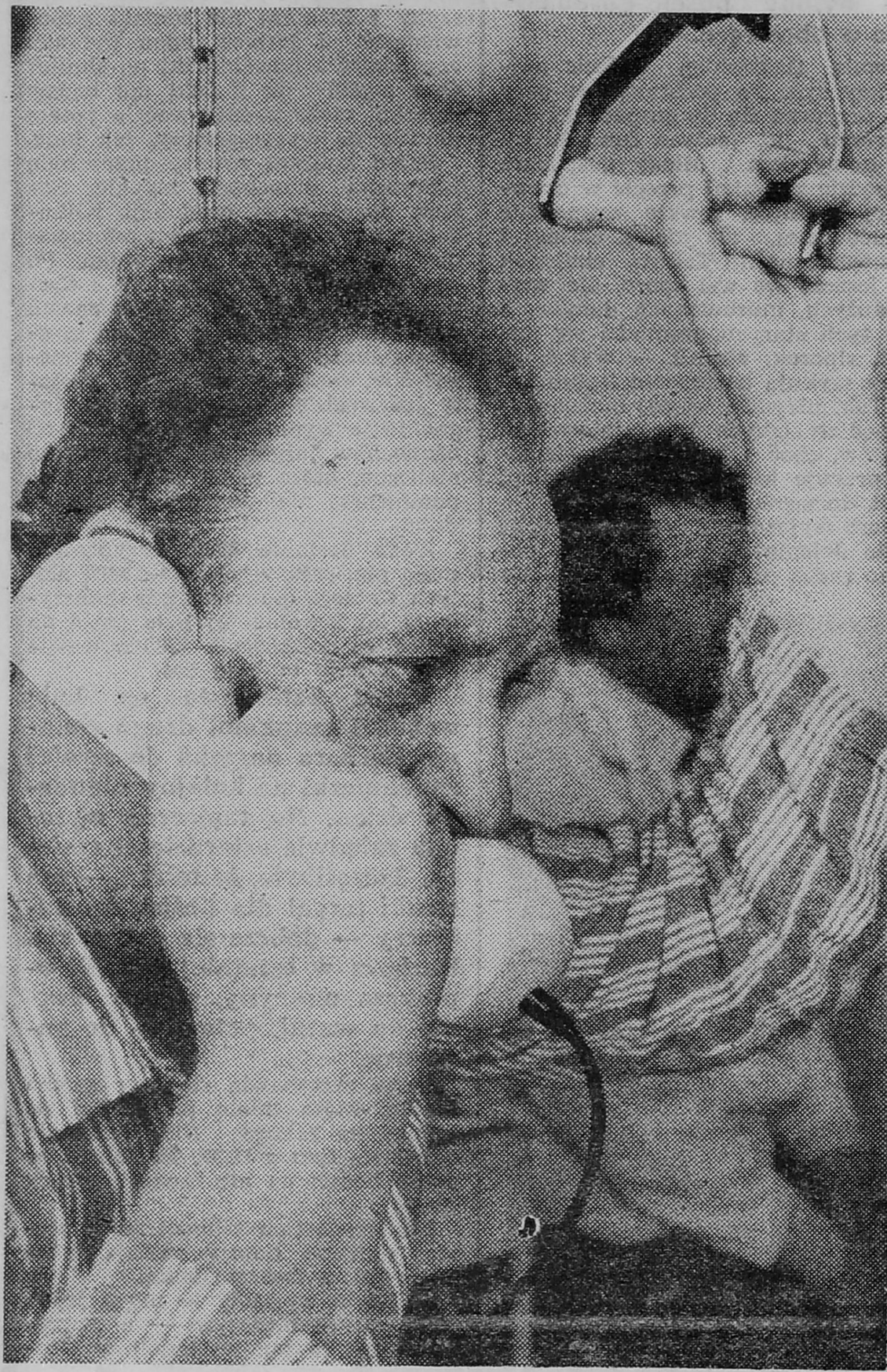
— A muzeum?

— Stanisława Serafińska bardzo skrzętnie zbierała rysunki, szkice, malowidła i listy Jana Matejki od jego najwcześniejszej młodości. Zabraliśmy się z mężem do uporządkowania i zorganizowania wystawowo wszystkich relikwii. Prawie cały dom zapełniliśmy pamiątkami po wielkim Mistrzu.

Muzyk Stanisław Domański zdradził mi pomysł zorganizowania na wiosnę 1982 r. przedstawień opartych na listach Matejki, z dziewiętnastowieczną muzyką, w ogrodach „Koryznówki”.

Choćby nawet nie doszły do skutku, samo muzeum wystarcza, aby z roku na rok ściągać tutaj coraz liczniejsze zastępy turystów i fachowców. Zajmuje ono parę sal. Gabloty z listami i innymi pamiątkami zgrabnie poustawiano wzdłuż ścian. Porządek chronologiczny ułatwia i syntetyzuje przegląd. Na ścianach natomiast porozwieszano szkice ołówkowe i w piórku, karykatury oraz rysunki dzieci Leonarda i Joanny Serafińskich. Jest w nich załazek stylu, który tak mocno indywiduuje twórczość artystyczną Jana Matejki. Pejzaże Wiśnicza, kościół farny, ratusz, do-

pogoda funebralna



Nie przyjedzie już do Łomży. Nigdzie nie pojedzie. Został na zawsze w ławie, gdzie śmierć go dopadła. I w wierszach.

Październik zaczął się wieścią o Władku: zginął w wypadku samochodowym. — Znowu! — chciałoby się zapytać, bo krakusy od kilku lat stały się jego „specjalnością”, ale pytanie zamiećło wobec nieodwołalności słowa „zginął”. Był prawdziwym panem Puszczy Zielonej. Pracował tu od trzydziestu lat. Kiedyś przezwali go Kurpiem (wymawiał gwarowo — „Kurps”) i nikt nie odmówił mu prawa do tego przezwiska, które z latami stało się jego drugim pseudonimem. Drugim, bo pierwszy, jeszcze z AK, to „Lepsza”. Ten brano za nazwisko, i stał się nazwiskiem. Nikt prawie nie wiedział, kto to jest Władysław Rymkiewicz, ale Władka Lepszą znało bardzo wielu.

Był człowiekiem nietuzinkowym pod każdym względem. Narzucającą się jego cechą był spokój (nie opanowanie). Mówił z cicha, jakby chciał słuchaczowi dać do zrozumienia, że świat, podobnie jak las, posiada swój głos, do którego dodatkowym, jego częścią zaledwie, są nasze słowa. A przecież był człowiekiem nie tylko upartym, konsekwentnym, ale nawet przedsiębiorczym. Na każde paskudztwo, zarówno w robocie, jak w charakterze, reagował takim swoim skrzywieniem twarzy i prychnięciem. Pracował wiele, intensywnie żył. Nie był aniołem, ale przez to bardziej ludzkie były jego przywary.

Potrafił zainteresować sobą wielu ludzi, ale — myślę — przyciągało ich do niego to, że był bardziej ciekaw ich niż oni jego. Jakby szukał prawdziwego człowieka. Dlatego dla każdego było miejsce przy jego stole i przyjazny czas, którego nie wliczał, jak my, nowocześni skąpcy.

Leży na cmentarzu w Łysych, w kwaterze żołnierskiej; wygnaniec, który pokochał ziemię kurpiowską. Pokochał, chociaż nie musiał.

HENRYK GALA

Fot. GABOR LÖRINCZY

my miejskie, place, pierzeje ulic, zakątki pełne romantycznego wdzięku są autentycznymi dokumentami wyglądu i uposażenia miasteczka w połowie dziewiętnastego stulecia.

Pan Stanisław obwoził mnie po okolicy. Powiózł do Niepołomic i Igołomy. W Bochni pokazał Muzeum Matejkowskie, a w Puszczy Niepołomickiej — maceznic i najciekawsze jej zakątki. Wreszcie dowiózł mnie do dawnej wsi Krzesławice. Hugo Kollataj, reformator Krakowskiego Uniwersytetu, wystawił dla siebie tutaj dworek, który został podarowany Matejce. Po śmierci Mistrza rodzina ofiarowała go Towarzystwu Przyjaciół Sztuk



Pięknych. Po wybudowaniu kompleksów Nowej Huty, Ministerstwo Kultury i Sztuki powiększyło budynek. Poza Muzeum Matejkowskim mieści się tu także ognisko plastyczne.

Zarażony Matejką — udałem się tramwajem do Krakowa. W kościele Panny Marii obejrzałem Matejkowską polichromię. Potem poszedłem w stronę Teatru im. Juliusza Słowackiego. Matejko rzucił rajcom Dyplom Honorowego Obywatela miasta Krakowa. Pomimo nawoływania artysty — zburzono stary, historyczny Szpital św. Ducha dla poświęcenia teatru.

Zajrzałem do Domu Jana Matejki. Patrząc na pamiątki po Wielkim Mistrzu: na jego prywatne zbiory (służyły mu jako modele do komponowania wielkich płócien) i na okazy złotnictwa, haftów, broni, strojów i na rycerski rynsztunek.

Wszedłem do Muzeum w Sukienicach: Królowa Bona, Zygmunt Stary, dziecięcy Zygmunt, II August, cała swita magnaterii z Litwy i Korony, Hohenzollern na kłęczkach. Potem — „Bitwa pod Racławicami” i Wernyhora z rysami Mistrza...

W Warszawie też szukałem Matejki. W Muzeum Narodowym w „Portrecie żony” poznałem „Królową Bonę”. Długo wpatrywałem się w „Autoportret”. Pięćdziesiąt pięć lat życia... Żona zamordowała artystę chłodem kobiecego mrozu. Nie zagnała szczęścia małżeńskiego. Malował świetność i chwałę narodowej przeszłości.

W roku 1956 po Muzeum Narodowym w Warszawie oprowadzałem grupę Japończyków. Kiedy pokazywałem płótna Wyczółkowskiego, Pankiewicza, Gierymskich, Fałata i Makowskiego — To francuskie malarstwo — powiedzieli mi chórem.

W wielkiej sali stanęli przed płótnem Olbrzyma: — A to kto jest? — spytali.

— Jan Matejko!

— Te obrazy są prawdą. Tutaj zobaczyliśmy Polskę — jak jeden wykrzyknął Japończyk.

Al Gol





ode mnie, ale wkrótce ja byłem lepszy. W kilku tworzyliśmy Studentką Agencję Fotograficzną. W „Kujonku”, akademiku przy ul. Krakowskiej, prowadziłem ciemnię, a po przeprowadzce do innego budynku wyposażałem nową pracownię. Później ożeniłem się i przez dwa lata uczyłem w Bruszewie ko-

ło Sokołów, więc czasu na fotografowanie nie było wiele. Teraz też nie ma go dużo. Mamy dziesięciomiesięczną córeczkę, przeprowadzamy się do Łap, gdzie żona już pracuje; ale na dwie, trzy rzeczy muszę czas znaleźć: działanie w harcerstwie, fotografowanie i kibicowanie bratu

BYŁEM LEPSZY

JAN BALDRIAN

Konkurs fotograficzny na najlepsze zdjęcie z meczu FC „Kontakty” — KS „Kurier Podlaski” wygrał Jerzy Truskolaski z Łomży, z zawodu — nauczyciel (kończy studia matematyczne w białostockiej Filii Uniwersytetu Warszawskiego).

— Kibicował Pan „Kontaktom”, czy przyszedł na stadion z aparatem, żeby znaleźć temat i wziąć udział w konkursie?

— Kibicowałem młodszemu bratu, który gra w drużynie juniorów ŁKS-u i występował w przedmeczach. Potem zostałem na waszym meczu-kabarecie.

— Bardzo Pan się ubawił?

— Nie, nawaliła radiofonizacja, a poza tym biegałem, żeby zrobić jak najwięcej ciekawych zdjęć.

— Od dawna Pan fotografuje?

— Od dziecka. Zaczynałem w końcu lat sześćdziesiątych na ojcowskiej zorze. Potem działałem w „Harcerzyku”, czyli Domu Kultury Dzieci i Młodzieży (tam, gdzie teraz „Orbis”). Na studiach jeden z kolegów fotografował, więc dołączyłem do niego. Wiedział i umiał więcej



prezentacje

— A to, widzi pan, ten obywatel plantuje buraki do cukrowni hrabiego, hrabia zaś korzystając z sytuacji, nigdy go inaczej nie nazywa, jak tylko plantatorem. To także rodzaj wyższości.

Bodzio odczuł ironię w głosie Holewicza, ale i sam skrzywił nos.

Przez cały czas rozmowy hrabia istotnie przemawiał do obywatela zawsze z tym samym tytułem. Obywatel marszczył się, było mu przykro, ale na tym poprzestawał.

Panowie z administracji prędko sami zrozumieli, że czas się wycofać, zaczęli się żegnać. Księżna wobec wszystkich zwróciła się nagle do Holewicza. Minę miała nieobiecującą.

— Czy to pan pisał do hrabiego Borelskiego, mego ojca, list w kwestii gorzelni?

— Tak, proszę księżnej pani.

— A to szczególnie! Wie pan, że podziwialiśmy w Belcianach ten list. To list wprost koncertowy, niesłychany.

Holewicz odczuł niewyraźną jeszcze kompromitację.

— Dlaczego, proszę księżnej pani? — spytał głosem niepewnym.

Księżna mówiła teraz wyjątkowo do obecnego hrabiego:

— To był bajeczny list. Croyez moi! Proszę sobie wyobrazić nagłówek: Szanowny panie!... Do mego ojca?!... Ha! ha! I poza tym w całym liście, dość długim, ani wzmianki żadnego więcej tytułu. To specjalna umiejętność: prawda?

— Hm! Istotnie — mruknął hrabia, pilnie patrząc w ziemię. Nawet jeśli było nieswojo.

Księżka chodziła tylko po pokoju, na ustach miała coś niby uśmiech kłopotliwy, niby oburzenie.

Księżna ciągnęła dalej ubawionym tonem:

— Ten list ojciec mój schował do archiwum. W zbiorze wszelkich osobliwości hrabiów Borelskich będzie unikatem. „Szanowny panie”, i nic nad to!... Que c'est ridicule!

Zaśmiała się nerwowo, niemal ze spazmem.

Holewicz stał ogłuszony, jak obity sztyderstwem.

Wszyscy byli niewymownie zmieszani.

Księżna, nie zwracając już uwagi na obecność administracji odwróciła się do męża i hrabiego. Lecz spostrzegłszy, że Holewicz złożył głęboki ukłon i odchodzi wraz z innymi, prędko podeszła do Michorowskiego.

— Panie Bohdanie, pan zostaje z nami, tylko przebierz się pan naturalnie. To jeszcze potem, jak zbiorą się damy.

— Prosimy bardzo. Ależ nawet już prosiliśmy! — dodał księżę.

Bodzio oprzytomniał. Ostrząsnął się z osłupienia i z szalonego gniewu.

— Dziękuję jaśnie oświeconej księżnej pani za łaskawość, lecz odchodzę z kolegami — odrzekł, mocno akcentując słowa, zwłaszcza tytuł.

Sklonił się i wyszedł razem z Holewiczem.

W sieniach podał rękę zarządzającemu. Usta Bodzia trzęsły się, twarz była wzburzona. Nie rzekł nic, uściśnął przyjacielsko dłoń zwierzchnika z serdecznym spojrzeniem, które tamten odczuł i ocenił.

Bodzio w wyobraźni swej przyszłości ujrzał się w położeniu Holewicza. Pochlebiał sobie tylko, że lepiej zna wymagania arystokratyczne i formy, wobec nich obowiązujące.

XXXIV

Pani Kornelia Michorowska w jesieni znowu przyjechała do Głębowicz. Zarzuciła ordynata mnóstwem wyrzutów z powodu, że Bodzio zrobił ekonomem.

— Nigdy nie sądziłam, aby kuzyn tak źle z nim postąpił. Taki delikatny chłopiec, taki warty, i on — do takiej pracy?! (Cdn.)

Ordynat Helena Mniszek Michorowski

23

Wrzało w nim. Roztargane nerwy, waliło w pulsach, niby huk raz po raz padających piorunów. Przechodził piekielne katusze zniewagi, mękę zduszonej w sobie dumy. Ale krzepił się ironią, ona była mu teraz siostrą miłosierdzia. Stał ogłuszony przez krótki moment. Po czym podniósł głowę i śmiało, wyzywająco patrzył na pękającą postać rozwaloną przy biurku. Lewą ręką zaczął o guzik od kamizelki, w prawej młócił rękawiczką, rwąc ich skórę z pasją.

Trzymał się na wodzy, drżał, ale czekał.

Nagle Wyroczyński zdjął jedną nogę z drugiej i ościęzale, jednak prędko, powstał. List trzymał otwarty, twarz wielką, lśniąca, rozszerzyła się zaskopowanym, lecz bardzo uprzejmym, niemal pokornym uśmiechem. Szedł do Bohdana, rozłożywszy ręce.

— Ach! Czego się dowiaduję! Mam honor... pana Michorowskiego?! Bardzo, bardzo uniżenie witam! Wprawdzie fama doniosła nam, że Rusłock posiada... tak znakomite... nazwisko, ale któż przypuszczał?! Witam szanownego...

Wyciągnął obie dłonie z miną rozkoszną. List spadł na podłogę.

Bohdan cofnął się krok w tył, nie zmieniając pozycji. Patrzył, jak przez szybę lodu.

Ramiona Wyroczyńskiego chwiała się gościnnie do rąk Bohdana. Lecz ten ich nie podał. Stał bez ruchu i głosu.

Wyroczyński zrozumiał.

Dłonie mu opadły, twarz zrobiła się aż fioletowa od krwi. Wybelkotał w okropnym pomieszczeniu, nie wiedząc co mówi:

— Wszak pan... kuzyn ordynata Michorowskiego?... Nie wiedziałem... Chociaż fama niosła...

— Żałuję, że ta fama — odpowiedział Bohdan — nie ostrzegła mnie, że Hulanka posiada taki okaz... jakim pan jesteś, gardzący ludźmi pracy. Teraz wiem i wszelkie kwestie z panem załatwiać będziemy przez pocztę, bo nawet pastucha nie chciałbym tu przysłać. Żegnam.

Słowa te padały jak szpicróżgi.

Bohdan wyszedł z gabinetu.

Uspokoił się dopiero w polu. Długo kłął w myśli, czasem głośno, wreszcie machnął ręką.

XXXIII

Z powodu imienin księcia Ponieckiego cała wyższa administracja Rusłocka i przyległych folwarków zaproszona została na przedwieczorną herbatę. Zastrzeżenie „przed” było wyraźne, potem miał być bal i zjazd arystokracji. Należało z administracją załatwić się wcześniej. Bohdan otrzymał wyłączną kartę od księżnej, zapraszającą nader uprzejmie już na obiad i na bal. Ale Bodzio od czasu bytności swej w Hulance solidaryzował się więcej z kolegami. Stał się ich szczerym przyjacielem. Własne porywy dumy magnackiej powstrzymywał umiejętnie, mając zawsze w pamięci brutalność Wyroczyńskiego. Odpisał księżnej, że zjawi się razem z kolegami przed wieczorem.

Przy herbacie Bodzio został umieszczonym w bliskim sąsiedztwie księżnej, która siedziała przy stole. Księżę natomiast wciąż spacerował. To

W KRĘGU
ROCKA

● W Białymstoku — w dniach od 1 do 3 października — odbywał się I Festiwal Muzyki Młodzieżowej. W chaotycznie zorganizowanej imprezie wzięło udział sześć amatorskich zespołów, grających różne odmiany rocka. Publiczności podobał się najbardziej zespół „Patologia Cięży” z Lublina, zaś jury nagrodiło „Sekcję Magistra” z Łap. Ponadto w koncertach gwiazd wystąpiły zespoły: „Osjan”, „Mech”, „Rezerwat” i — niezwykle ostatnio popularny — „Lady Pank”. W hali KS „Jagiellonia” nie wystąpili Martyna Jakubowicz i zespół „Krzak”, który, jak się okazało, zawiesił swoją działalność. Nie odbyła się sesja poświęcona pamięci Ryszarda Skibińskiego. Jednym słowem: publiczność kolejny raz została nabita w butelkę, a organizatorzy zapowiedzieli podobną imprezę w przyszłym roku. Jeśli będzie taka, jaką widziałem, rock nigdy na stałe nie zagości w naszym regionie.

● Po odejściu z „Budki Suflera” wokalistów: Romualda Czystawa i Felicjana Andrzejczaka oraz gitarzystów Janiaka i Jareckiego — do zespołu dołączył były jego wokalista, Krzysztof Cugowski.

● Rozwiązały się grupy „Stalowy Bagaż” (kapela towarzysząca niegdyś Izabeli Trojanowskiej) i „Brak” — zespół z Łodzi.

● W nowej ramówce programowej Rozgłośni PR i TV w Białymstoku pojawiła się nareszcie audycja dla fonoamatorów. „Non-stop” nadawany jest w każdą sobotę (w programie lokalnym) o godz. 17.10. W audycji są prezentowane najlepsze płyty muzyki młodzieżowej oraz ulubione piosenki słuchaczy, wybierane przez nich samych w poniedziałkowym „Muzycznym Telefonie”.



„BOOMTOWN RATS”

Nowofalowa grupa „Boomtown Rats” powstała na przełomie lat 1975/76 w Dublinie. Założyli ją amatorzy, mówiący naszym językiem — klezmerzy, grający w knajpach i kafejkach stolicy Irlandii.

Pierwszy long-play nagrali i wydali w Kolonii, ale płyta nie znalazła zbyt wielu zainteresowanych. Załamani brakiem powodzenia — wyjechali na cykl koncertów po zapadłych miesiącach Anglii i, o dziwo, tu zaczęli się podobać. Tak zrodził się ruch fanów muzyki punk-rockowej. Pierwsze nagrania „Boomtown Rats” pojawiły się też na listach przebojów; był to znak, że płyty tej grupy są kupowane, a akcje zespołu rosną.

Sukces przyszedł dopiero w roku 1976, po nagraniu drugiej płyty — „Tonic for the Trops”. W tym samym czasie na pierwszym miejscu listy przebojów znalazł się „Rat Trap”. Światową sławę grupa zdobyła nagraniem „I Don't Like Mondays”, którego tekst został oparty na dramatycznym wydarzeniu. Miało ono miejsce w jednej ze szkół amerykańskich. 16-letnia uczennica, Brenda Spencer, ostrzelała z karabinu maszynowego przebywających na boisku kolegów i nauczycieli. Muzyczna opowieść o tej historii rozszalała się (nagrana na singlu) w paru milionach egzemplarzy.

Od tamtej pory „Boomtown Rats” nie traci popularności. Grupa nagrała trzy kolejne płyty: w roku

1979 — „The Fine Art of Surfacing”, w 1980 — „Mondo Bongo”, a w 1982 — „V Deep”. Jej muzyka ostra i agresywna, chwilami doprowadzająca do obłędu, ale podoba się — jak wszystko, co szybkie i głośne — małoletniej publiczności.

Zespół tworzą: Johnie Fingers — instrumenty klawiszowe, Simon Crowe — perkusja, Garry Roberts — gitara, Pete Briguett — gitara basowa, Gerry Cott — gitara, Bob Geldof — śpiew. Jeśli ktoś oglądał wspaniały film „The Wall”, którego scenariusz został oparty na muzyce z albumu zespołu „Pink Floyd” o tym samym tytule co film, to pewnie pamięta Boba grającego rolę głównego bohatera obrazu.

zapalał cygaro, to zaglądał w okno. Przysiadł obok żony rzadko i na krótko. Odzywał się mało, rzucając przeważnie zapytania. Panowie z administracji odpowiadali z mniejszym lub większym pośpiechem i w uroczystym skupieniu. Poniecki słuchał ich z uśmiechem pobłażliwoapatycznym. Często także przemówił coś do żony, w obcym języku, wprowadzając przyciszonym uprzejmie głosem, lecz przez to pogarszając tylko wrażenie. Bodzio się zdumiewał. Jakoś do innych porządków przywykł w Głęboczach, a może już miał w swych żyłach krople innej krwi, niż Ponieccy. Jednak bogata sala jadalna, rój lokajów wyfrakowanych, ogólna atmosfera magnacka trochę na niego podziałały. Mimo woli wchłaniał w siebie hojnie to rozsypaną wielkość. Ożywił się, nabrał podnieconych kolorów. W żenicach znalazł się wyraz już przyćmiony, trochę butny. W junakijski sposób prostował smukłe plecy, głowę podnosząc wyżej ruchem arystokratycznym.

Gawędził wesoło z księżną, ale po polsku. Księża subtelnie ignorował. Pomimo bowiem wsiąkania w swe właściwe ramy, odczuwał niekontakt Ponieckiego. Z poczuciem swej wyższości był uprzedzającą grzeczny dla kolegów, zarazem różniczkując siebie od nich, lecz bez objawów zewnętrznych. Bodzio obiecywał sobie zostać na wieczór i bawić się dobrze w tych swoich warunkach. Oboje księstwo wyróżniali go widocznie. Bohdan czuł, że mu się to należy, ale rozkosz tego wrażenia psuł mu pewien niesmak. Chcąc go złagodzić, zwracał się z serdecznym słowem lub z dowcipem filuternym do kolegów i cieszyło go ich zadowolenie. Księżę krzywił się na to nieznacznie, w duchu myślał: — „natura Michorowskich” — i wielce był dumny, że się zowie Poniecki.

Zanim skończyła się proszona herbata, nadjechało kilka osób z sąsiedztwa, oczekiwanych na godziny późniejsze.

Księżtwa powarzyły się humory.

Jednym z przyjeżdżających był hrabia zamieszkały w okolicy. Mówił powoli, łaskawie, patrząc w ziemię. Nad wyraz wstrzemięźliwie witał zebranych oficjalistów. Zdziwienie na ich widok osiadło w jego podniesionych brwiach, krecił głowę. Księżę stał się jeszcze bardziej roztargniony. Miał już odpowiedniego partnera do rozmowy, ale dawał lekkie znaki księżnej, aby skróciła posiedzenie przy stole.

Do przedstawionego Bohdana hrabia poufale wyciągnął rękę.

— A! z przyjemnością witam przedstawiciela rodu Michorowskich — rzekł z emfazą. Wszak głębowicka linia?...

— Nie, hrabio, tylko czerczyńska — odrzekł Bodzio.

— To, to samo, to samo. Znam, znam ordynata! Działacz, społecznik! A pan tu zapewne lekko praktykuje? — dodał hrabia z figlarnym grymasem porozumiewawczym.

— O tak! Naturalnie! — wyręczył Bodzia w odpowiedzi sam księżę Poniecki.

Bohdan się zmieszał. Może nie przyznałby, że właściwie jest oficjalistą, lecz interwencja księcia i jego uśmiech pobłażliwy zirytowały go. Odparł dość szorstko.

— Przeciwnie, hrabio, pracuję na chleb bo... muszę. Praktykantem nie jestem.

Księżtwa i hrabia stropili się nieco, ale koledzy Bodzia spojrzeli na niego z uznaniem i to było mu nagrodą za dużą przykrość.

Wszedł nowy gość, zamożny obywatel. Witał zebranych z uprzejmą serdecznością bez wyjątków. Przemawiał tak samo do księcia jak i do Holewicza, jedynie z uwzględnieniem dla tytułu Ponieckiego. Hrabemu radośnie podał prawicę.

— A! kochany sąsiad! Moje uszanowanie.

— Witam mego plan...ta...tora — wycodził hrabia mniej gorąco oraz mniej żarliwie wstrząsnął ręką obywatela.

— Cóż to za tytuł? — spytał cicho Bohdan Holewicza.



sucha zupa

Już w neolicie człowiek starał się tak przyrządzać produkty, aby łatwiej je było przechowywać i transportować. Piekł np. na rozgrzanych kamieniach placki z ziarnistej bryi (pierwszy zagęszczony pokarm), a z czasem przyrządzał inne suche potrawy z rozdrobnionego ziarna i mąki. I tak Żydzi wyrabiali macę, muzułmanie — kus-kus (suszone zacierka z mąki pszennej i kukurydzianej), Chińczycy i Japończycy — kluski z ryżu, Rusini, Litwini i górale tatrzańscy tłukli gotowany i wysuszony owies na polewkę, zwaną tołoknem, lub na suchary. Niektóre ludy (np. Indianie w okresie przedkolumbijskim i Murzyni w południowej Afryce) wyrabiali skondensowane potrawy z mielonego, suszonego mięsa, tłuszczu i jagód. W krajach tropikalnych mieleno i suszono na mączkę banany, w starożytnej Grecji zagęszczano na słońcu sok winogronowy, w Ameryce — syrop klonowy.

Bardziej świadome jednak wytwarzanie koncentratów zaczęło się w drugiej połowie XVIII w., kiedy to została zainicjowana rzemieślnicza produkcja suszonych jarzyn i kostek bulionowych. Według przekazów z 1772 r. — podróżnik Cook używał już zup w koncentratkach. Wyrabiano je później w czasie wojen napoleońskich obok kawy zbożowej i cykoriowej.

Pierwszy patent na produkcję „suchych zup” wydano w Anglii w 1874 r. W roku 1850 Justus von Liebig opracował recepturę ekstraktu mięsnego, którego produkcję rozpoczęto w Urugwaju i Argentynie, a więc w państwach obfitujących w tanie mięso. W roku 1880 rozpoczęła karierę światową kostka Maggi, którą Julius Maggi, szwajcarski młynarz, sprzedawał obok grochówki w proszku.



Jarmuż - roślina nie tylko dekoracyjna

Jarmuż, którym prawie wyłącznie dekorujemy świąteczne półmiski, jest wyjątkowo smacznym warzywem i, co ważne — dostępnym w zimowych miesiącach. Należy do roślin najbardziej zasobnych w sole mineralne i witaminy. Dzięki dużej zawartości wapnia, magnezu, fosforu i żelaza powinny go spożywać szczególnie dzieci. Najwięcej znajduje się w nim prowitamina A i witaminy C; zawiera także witaminy B1, B2, E i K.

ZUPA Z JARMUŻU: 25 dkg kości, 25 dkg włoszczyzny bez kapusty, 50 dkg liści jarmużu, 35 dkg ziemniaków, 10 dkg śmietany, 2 dkg mąki, sól, 1-2 łyżki czosnku, szklanka mleka. Ugotować wywar z kości. Warzywa umyć, rozdrobnić,

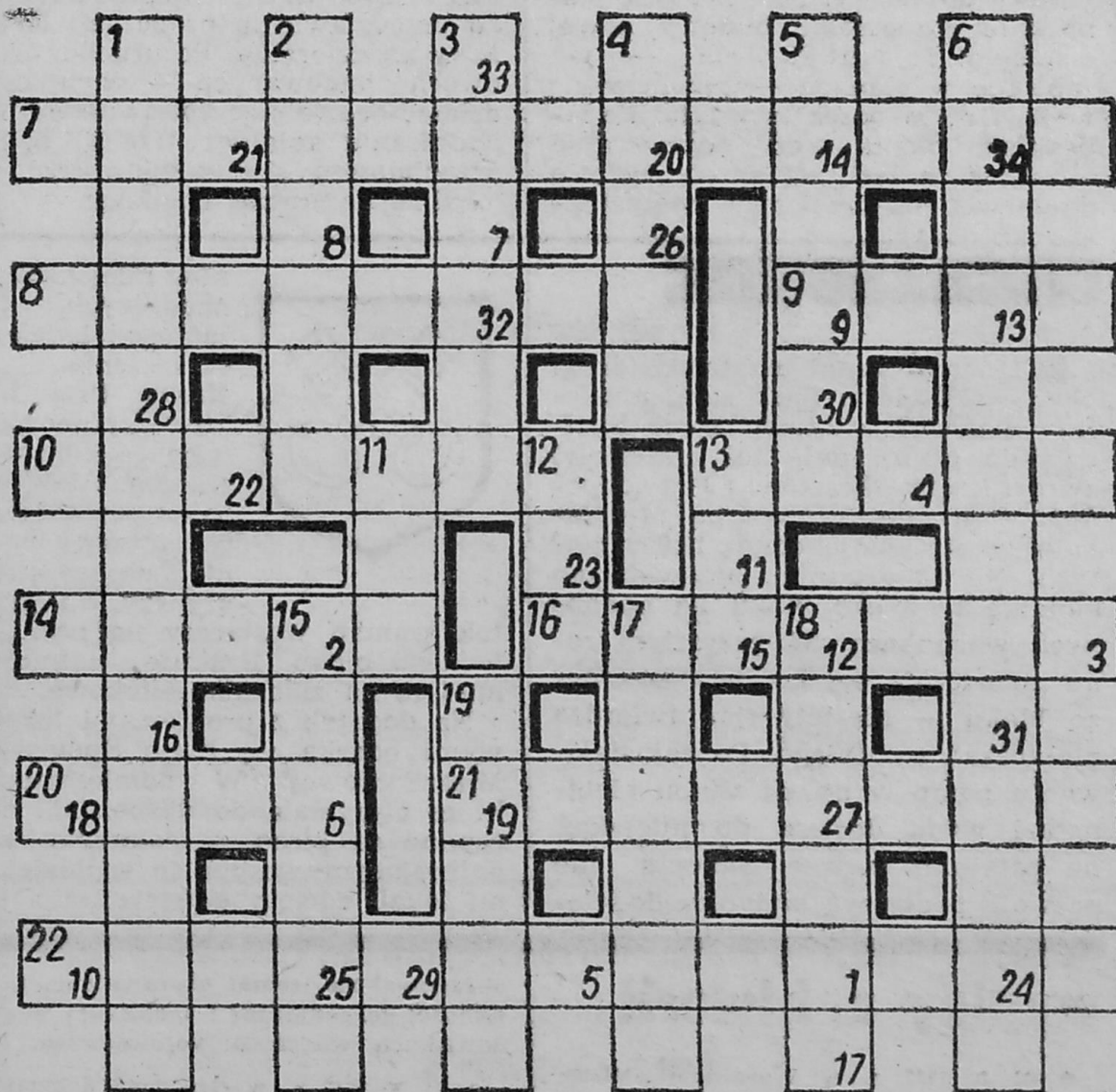
dodać do wywaru, posolić i gotować do miękkości. Mąkę wymieszać ze śmietaną, rozprowadzić wywarem, dodać do zupy, zagotować. Doprawić czosnkiem rozartym z solą. Przed podaniem połączyć z mlekiem. Zupę tę można również podawać przecieraną z grzankami, po zaciągnięciu jej żółtkiem.

JARMUŻ Z JAJAMI LUB KIELBASA: 1 kg jarmużu oczyścić, wyciąć zgrubiały środkowy nerw, wymyć starannie, obgotować krótko we wrzącej, osolonej wodzie bez przykrycia, odcedzić, posiekać lub zmielić. Przygotować zasmażkę z tłuszczu i mąki, rozprowadzić wywarem i mlekiem (półtorą szklanki). Połączyć z jarmużem, wymieszać i zagotować, doprawić czosnkiem rozartym z solą. Kielbasę pokrajać w plastry, obsmażyć na tłuszczu. Gorący jarmuż wyłożyć na półmisek, obłożyć plasterkami kielbasy czy sadzonymi jajami; lub też położyć na krążek kielbasy sadzone jajo i posypać drobno siekaną zieleniną. Można również przyrządzić jarmuż ułożony w naczyniu do zapiekania, uformować otwory, w każdy wbić jajo, posolić, posypać tartym żółtym serem i wstawić do piekarnika do zapiekania. Podawać z ziemniakami, kaszą lub panierowanymi i smażonymi grzankami z bułki.

drzwi z malachitu

Na pierwszej światowej wystawie w Londynie w 1851 r. — obok automatycznego pistoletu „Colt”, maszyny do szycia „Singer”, brylantu wielkości gołębiego jaja, sławnego „Koh-i-noor” — zwiedzających zadziwiali dwa eksponaty: miniatu-

rowa, delikatna broszka i ogromne (4,2x2 m) drzwi. Obydwa te przedmioty zostały wykonane z tego samego materiału: szmaragdowo-zielonego malachitu. Pochodziły one z wyjątkowo zasobnych w ten minerał złóż uralskich. Wśród 130 rosyjskich eksponatów, przysyłanych na londyńską wystawę, znalazł się również kawałek malachitu o wadze 700 pudów (pud — 16,38 kg). Pochodził on z bryły, która ważyła 3000 pudów.



Po rozwiązaniu krzyżówki litery z krątek ponumerowanych w prawym dolnym rogu ustawione od 1 do 34 utworzą przysłowie staropolskie.

POZIOMO: 7) naruszenie przepisu, 8) gnu, garnia, 9) norweska metropolia, 10) nieład, rozgardiasz, 13) w łazience do kąpeli, 14) duży afrykański ptak biegający, 16) walczy z czerwonym kurem, 20) można w nie nabrać wody, 21) instrument muzyczny perkusyjny, rodzaj gruchawki, 22) sztuka układania kwiatów w różnorodne kompozycje.

PIKOWO: 1) bryła geometryczna, 2) suchy port w pd.-wschodniej części Polski, 3) drzewo liściaste pospolite w naszym krajobrazie, 4) Lodowaty, Atlantycki, Spokojny, 5) sława, uznanie, 6) gałąź przemysłu zajmującego się produkcją wyrobów koszykarskich, 11) coś z drobiu, 12) wystająca część twarzy, 13) niebezpieczny na rzece, 15) muza, opiekunka astronomii, 17) zakład drzewny, 18) określony format papieru, blachy, dykty, 19) duża, okazała budowla.

Czytelnicy, którzy w terminie dziesięciodniowym nadesłali pod adresem redakcji prawidłowe rozwiązanie, wezmą udział w losowaniu książek.

(HCL)

życie kwiatów

Kupując kwiaty na targach czy w kwiaciarniach nie wiemy, jak długo stały już w wodzie, dlatego przed ułożeniem ich w naczyniu trzeba przyciąć ostrym nożem lub żyłką końce łodyg w taki sposób, aby powierzchnia przycięcia była jak największa. Jeśli rośliny mają łodygi zdrewniałe (np. róże), wówczas lepiej naciąć łodygi wzdłuż lub zmiażdżyć je młotkiem (pod powierzchnią wody!).

Równie ważną sprawą jest jakość wody, w której mają stać rośliny. Nie może być lodowato zimna ani też letnia, a ponadto musi być zupełnie czysta, czyli — często zmieniana. Po zmianie wody w wazonie trzeba również przepłukać łodygi kwiatów.

Dla podtrzymania świeżości roślin stosuje się często różne środki chemiczne. W krajach zachodnich są produkowane gotowe mieszanki. U nas stosuje się np. chlorek wapnia (5 gramów na 1 litr wody) do przedłużania życia róż, a cukier (5-10 gramów na litr wody) — do podtrzymania świeżości groszku pachnącego, irysów i narcyzów.

Rośliny lekko więdnące można uratować przez zanurzenie końców łodyg w gorącej, niemal gotującej się wodzie. Dodatkowo na taki zabieg reagują chryzantemy, lilie, róże i gerbery. Te ostatnie można też zanurzyć na parę godzin w zimnej kąpieli (np. włożyć na noc do wypełnionej wodą wanny).

Ponadto należy pamiętać o tym, aby ciętych roślin nie ustawiać w pełnym słońcu, a na noc, jeśli to możliwe, wynosić do zimniejszego pomieszczenia.

stragan pod trzynastką



HOROSKOP - psychoterapia



MÓWI, ŻE
JEST BRUNETEM
I ŻE WYSZŁAS
MU
W KARTACH!

BOHDANOWICZ

Różne są nadzieje astrologii i różne typy astrologów. Ostatnio coraz częściej słyszy się o horoskopach komputerowych. Czy rzeczywiście komputer może przygotować horoskop? Tak. Może obliczyć dane potrzebne do horoskopu tak samo dokładnie, jak astrolog. Może też poinformować o znaczeniu planet znajdujących się w znakach Zodiaku, ale nie może powiadać tych znaczeń i wyciągać wniosków syntetycznych, na których osadza się praca astrologa, tak samo jak nie może namalować oryginalnego dzieła sztuki.

Komputer powie np. komuś, kto ma Słońce w znaku Byka, że jest uparty w działaniu, ale nie rozróżni, czy będzie się to manifestować w karierze zawodowej, czy raczej w życiu małżeńskim. Maszyna licząca przydaje się do kalkulacji przyszłych dat, gdyż z łatwością obliczy ruchy planet i powstające kąty między nimi, ale ich nie interpretuje. To wymaga zdolności w zasadzie artystycznych.

Aby poznać astrologię, należy studiować historię tej sztuki, jej podstawowe zasady; nauczyć się jej języka, obliczeń horoskopu, jego interpretacji, a potem — przez zmuszoną pracę i rozwój wewnętrzny — dojść do umiejętności przewidywania przyszłych wydarzeń. Nauka wy-

maga doświadczonego nauczyciela, gdyż same książki nie wystarczą. Ale najważniejsza jest praktyka, i to wieloletnia.

Astrologia jest jedną z najszybszych metod psychoterapii. Pacjent jednak powinien zdawać sobie sprawę, że jeśli chce pokonać los,

musi najpierw zwalczyć swoje wady i słabości. Jeżeli nie chce tego zrobić — niech lepiej idzie do wróżki w celach rozrywkowych. Gdy jednak ktoś idzie do astrologa z ciekawości, aby skonsultować się z nim w kwestiach miłości, zdrowia itp., to znaczy, że już zaczyna pokonywać wady swego horoskopu i ego.

Uświadomienie sobie problemów związanych z rozwojem własnego ego jest połową życiowego sukcesu. Weźmy, na przykład, Rybę. Złe kierowana energia tego znaku może powodować łatwość wytwarzania się stanów lękowych, zgorzkniałości, uleganie złudzeniom, przekraczanie faktów i nadwrażliwość psychiczną. Właściwie skierowana energia daje optymizm, a wrażliwość zmienia w współczucie, miłosierdzie, obiektywizm w uczucia i wyobraźnię twórczą. Jest to — oczywiście — przykład skrótowy. W rzeczywistości astrolog bierze pod uwagę nie tylko znak, w którym było Słońce w momencie urodzenia, ale rozpatruje wszystkie znaki Zodiaku, dziewięć ciał niebieskich naszego układu słonecznego we wzajemnych relacjach kątowych względem siebie, jak i względem miejscowości urodzenia. Analizuje też wiele innych czynników. Wszystko to musi być uwzględnione i doprowadzone do kontekstu planu, środowiska społecznego itd.

Krótko potem do kliniki dr. Causanillas dostarczono pacjenta, który przez nieuwagę dotknął kabla energetycznego, znajdującego się pod napięciem 380 V. Wypadek miał miejsce w pobliżu kliniki. Lekarz próbował odratować porażonego tradycyjnymi metodami, lecz gdy to nie pomogło, zastosował przeciwdziałanie: umieścił jedną elektrodę na piersiach porażonego, a drugą na jego plecach i włączył prąd o natężeniu kilku amperów. Po trzech godzinach chory został odratowany i odzyskał przytomność. Wówczas lekarz przypomniał sobie, co opowiadał mu o tamtym świecie dwaj poprzedni pacjenci. Spytał więc elektryka o jego przeżycia i wrażenia z tamtego świata.

Jak dotknąłem przewodu wysokiego napięcia — zaczął monter — w głowie zabłysła mi jaskrawa błyskawica. Moja głowa zdawała się palić. Gdy to minęło, pomyślałem: „Nie chcę umierać”. I wówczas przewinęły się przed oczami mojej duszy (już teraz nie wiem, równocześnie czy kolejno) obrazy z mego życia. Wszystko to, co minęło, przeżyłem powtórnie. Szedłem więc do kościoła z moją żoną. Ona miała na sobie ślubną suknię i to był dzień naszego wesela. Równocześnie widziałem po rzece Rio Grande. Żona moja była jeszcze panną i nazywała się Senorita Perez. Przed kilkoma dniami zaręczyłem się z nią. W tej samej chwili siedziałem na mule i jechałem do Villanueva. Naprzeciw mnie ukazała się ciężarówka i o mały włos mnie nie przejechała. Jeszcze nie ochłonąłem z przerażenia, gdy mój stary nauczyciel spuścił mi łanie, bo Juanowi Alvarosowi zrobiłem dziurę w głowie, rzucając do niego kamieniem. Wyciągnąłem rękę do przechodzą-

kłopoty i smutki

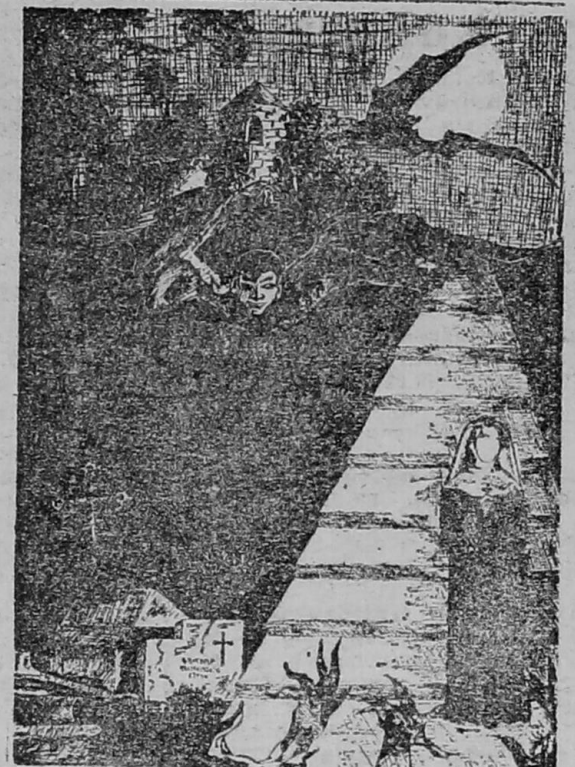
„Pamiętam swoje sny bardzo rzadko, a ten — doskonale. Nad ranem zobaczyłem we śnie dwa wielkie, żywe karpie, leżące na patelni. Drugiej zaś nocy, mniej więcej o tej samej porze (za każdym razem sny mnie budziły i za oknem już było szarawo), przysnił mi się duży, czarny kot, którego długo i uporczywie głaskałem. Potem ktoś (zdaje się — moja żona) powiedział mi: nie dotykaj tego kota, bo on ma robaki. Natychmiast ujrzałem wielkiego, białego i obrzydliwego robaka. Pełen wstrętu obudziłem się i już nie mogłem zasnąć”. ROMAN K. Z WAR-SZAWY.

Nadchodzą przykrości, ale równolegle będzie się Pan mógł cieszyć korzyściami materialnymi. Czekaj Pana zaskoczenie — można rzec: zostanie Pan schwytany na haczyk i dość długo potrwa, nim się Pan wyswobodzi z jakiegoś trudnego do spełnienia zadania przez — korzystne dla siebie — rozwiązanie go.

Głaskanie kota symbolizuje Pański sposób komunikowania się z ludźmi. Lubi Pan trochę narzucać im swoją uczynność, a przy tym jest zbyt ufny i nazbyt oddany tym, którzy tego nie doceniają, a nawet lekceważą Pana. Radzimy więc rezerwy i szacunku dla samego siebie. Tym bardziej, że w Pana otoczeniu znajduje się ktoś, kto z rozmysłem

zechce Pana skrzywdzić. To właśnie symbolizował drugi Pana sen — z robakami.

Głowa do góry. Wszystko powinno się wkrótce dobrze skończyć, jeśli zbagatelizuje Pan cudzą złą wolę i jak najszybciej zapomni o doznanej przykrości, nie zachowując urazy ani nie mszcząc się.



Rys. Beaty Sikorskiej

NIEWIARYGODNE ACZ PRAWDZIWE

Krzyżek wykonany z jednego kawałka drutu miedzianego promieniuje, jeżeli obwód drutu pozostaje otwarty. Podobnie promieniuje rysunek takiego krzyżyka, wykonany czarnym tuszem na białym papierze. Promieniowanie zwielokrotnia się, jeżeli narysujemy kombinację rozwijającą kształty krzyża. Efekt ten można wykorzystać np. do naostrzenia żyłki czy zmumifikowania pożywienia (nie nadaje się ono potem do spożycia, lecz zachowuje kształt, barwę i pierwotny zapach). Aby naostrzyć żyłkę, należy ją ułożyć na wysokości centymetra nad rysunkiem, który otwiera stronę wskazuje południe. Ostrza żyłki muszą być skierowane na wschód i zachód. Można się nią potem golić ponad dwa miesiące.

— ★ —

Wpływ ciał niebieskich na naszą planetę bada się też metodami pośrednimi. Częściowym dowodem na to jest eksperyment przeprowadzony z małżami. Pewną ilość skorupiaków przewieziono z Zatoki Kalifornijskiej w głąb lądu, a następnie umieszczono je — w izolowanym ołowiu — pomieszczeniu. Sztuczne oświetlenie włączono na podstawie czasu kalifornijskiego. Przez kilka dni małże otwierały się i zamykały zgodnie z poprzednim rytmem, potem jednak przystosowały się do lokalnego położenia Księżyca. Eksperyment powtarzano wielokrotnie, zawsze z tym samym rezultatem.

cego Grihgos, aby mi dał parę centów. Siedziałem wówczas na kamiennych schodach rodzinnego domu w Cardona. Miałem około 4 lat. Najciekawsze, że wrażenie błyskawicy oraz myśli, iż nie chcę umierać, i szczegóły z mojej młodości prawie równocześnie stanęły mi w pamięci.

I wówczas zdarzyło się coś bardzo dziwnego. Zaczęło mi się wydawać, że wypadek z prądem wysokiego napięcia był tylko snem. Nagle znalazłem się w domu z żoną i dziećmi. Mówiłem do nich, lecz oni, zdaje się, mnie nie rozumieli. W każdym razie nie tylko, że nikt mi nie odpowiedział, ale wręcz zignorowano moją osobę, jakby mnie nie było.

To mnie, oczywiście, zirytowało. Zmiotłem więc wszystkie talerze ze stołu, tak że spadły na podłogę, po czym zerwałem obraz ze ściany i poszedłem sobie. Przyszedłem tu i nagle stanąłem obok siebie. Zobaczyłem siebie na stole operacyjnym. Ogarnęło mnie przerażenie, z którego się przebudziłem. Był to brzydki sen...

Doktor Causanillas, który — jak wiemy — słyszał już relacje z tamtego świata od dwóch innych pacjentów, a także był opytany w literaturze z zakresu parapsychologii, wcale nie został przekonany o tym, że to, co opowiadał elektryk, było zwykłym snem. Oczywiście, ktoś nie obyty ze spirytyzmem mógł przeżycia elektryka uważać za sen, który mógł powstać wskutek błędnych sprzężeń w mózgu. Spowodowanych przerwą w dopływie krwi, co wywołało niewłaściwe odżywianie komórek mózgowych. To znów mogło być przyczyną nienormalnego funkcjonowania mózgu. Takie mniej więcej byłoby wytłumaczenie psy-

chologiczne tego wypadku.

Jednakże doktor Causanillas był nie tylko lekarzem, ale także parapsychologiem. Nie mógł więc w żaden sposób uwierzyć, że zetknięcie się elektryka z tamtym światem (co nie podlegało dyskusji) było tylko skutkiem wadliwego funkcjonowania komórek mózgowych. W jaki sposób jednak można byłoby stwierdzić i udowodnić, że nie był to sen, lecz fakt?

Chyba dałoby się to udowodnić. Przecież pacjent wspominał o tym, że żona i dzieci nie zwróciły na niego uwagi, co go tak zirytowało, że zrzucił na podłogę talerze ze stołu i obraz ze ściany.

Tu więc był punkt zaczepienia. Rodzina mogła go nie zauważyć, ponieważ udał się do swojego mieszkania nie w swym ciele fizycznym, lecz poszło tam jego ciało astralne. On sam w ogóle nie zdawał sobie sprawy z tego, że już nie żyje, jak to się często zdarza w przypadkach nagłej, gwałtownej śmierci.

Aby do końca wyjaśnić to zdarzenie i swoją hipotezę, doktor Causanillas pojechał na przedmieście Monterey, by zobaczyć się z żoną elektryka, która o wypadku męża jeszcze nic nie wiedziała. Gdy zajechał na Calle de Catalunia, przed dom elektryka, usłyszał, jak dzieci na ulicy rozmawiają o tym, że w domu montera po południu straszło. Nagle spadły ze stołu talerze, chociaż nikt się do niego nie zbliżał, a ze ściany zleciał obraz, chociaż gwoździ nie wypadł, a wieszak był dobry. To, co opowiadały dzieci, w pełni potwierdziła żona. Wszystko odbyło się tak, jak rzekomo śniło się elektrykowi. Dla doktora Causanillas było więc jasne, że przeżycia elektryka nie były snem, lecz faktem. (cdn.)

LESZEK SZUMAN

ŻYCIE



PO ŚMIERCI JAK DR CAUSANILLAS PRZECZYTRZYL ŚMIERĆ (2)

- 7 -

Ku zaskoczeniu lekarza — i ten pacjent także wspominał o jakiejś cudownej krainie, gdzie znalazł się podczas swej pozornej śmierci. Także i on napotkał tam osoby znajome, dawno już nieżyjące. W przeciwieństwie do pani Buenavides, wcale nie pragnął pozostać na zawsze po tamtej stronie życia. Może dlatego, że był młody i bardzo przywiązany do życia doczesnego.

Doktora Causanillas ucieszył ten pierwszy, całkowicie pozytywny finał starań, choć zastanowiło równocześnie, że dwaj obcy sobie pacjenci, po przebudzeniu się, opowiadali mniej więcej to samo o jakiejś cudownej krainie na tamtym świecie.

wiedza tajemna

organ samoisny pod redakcją
Joanny Sabilo i Andrzeja Wesolowskiego

wiedza tajemna